



12 marca 2025

NR 59 (18150)

Sport



Gdzie oni są?

Poprawa po przerwie

Spotkanie z Zagłębiem Lubin było wymagające dla piłkarzy GieKSy.

GKS KATOWICE

Z uwagi na wyjątkową otoczkę spotkania GKS-u Katowice z Zagłębiem Lubin w poprzednią niedzielę (był to ostatni mecz przy Bukowej przed przeprowadzką na arenę przy Nowej Bukowej), niewielu zwracało uwagę na to, jak piłkarze Rafała Góraka. Liczyło się zwycięstwo bez względu na okoliczności. Trzeba jednak podkreślić, że nie był to najłatwiejszy mecz dla ekipy z Górnego Śląska. Mówił o tym także Adrian Błąd, zawodnik z najdłuższym stażem w aktualnym składzie GieKSy. – W pierwszej połowie graliśmy bardzo przeciętnie. Zagłębie chciało uprosić grę, czekało na fazy przejściowe, bo to zespół, który ma bardzo szybkich zawodników. Oddawaliśmy rywalom za dużo miejsca. W drugiej połowie widać było większą jakość, która przyniosła nam więcej szans. Udokumentowaliśmy to bramką i super, że nam się to udało, bo mecz był trochę niemrawy. Chcieliśmy dorównać do fantastycznej otoczki i może przez to nogi były splątane.

ne. Ostatecznie dobrze, że w drugiej połowie dołożyliśmy jakość i wygraliśmy w historycznym momencie – powiedział po spotkaniu skrzydłowy.

Błąd był jednym z bohaterów niedzielnej meczu. To on asystował przy jedynej bramce, której autorem był Sebastian Bergier. Doświadczony piłkarz świetnie odnalazł się w polu karnym, uciekł obronie i spokojnym podaniem obsłużył napastnika. Defensorzy Zagłębia byli w szoku. – Nie jestem pewien, czy przeciwnik mnie w ogóle widział, bo wracałem z pozycji spalonej. Alan Czerwiński dojrzał, że wbiegam w pole karne i do mnie podał. Nie spodziewałem się, że będę niepilnowany. Myślałem, że jeszcze jest za mną obrońca – relacjonował 33-latek. Wczoraj pisaliśmy o tym, że Bergier, strzelec gola, przewidział, że trafi do siatki, gdy jeszcze siedział na ławce. Okazuje się, że zdolnościami jasnowidzenia popisał się także Błąd. – Chwilę przed golem powiedziałem do „Bergiego” (Sebastiana Bergiera – przyp. red.): „Zobaczysz, zaraz padnie bramka”. Przed nią dochodziliśmy do strzałów, ale brakowało nam tylko

3

MECZE

przeciwko Zagłębiu Lubin rozegrał do tej pory Adrian Błąd, wychowanek „Mie-dziowych”. Po raz pierwszy zagrał przeciwko temu zespołowi w sezonie 2016/17, gdy był piłkarzem Arki Gdynia. Spotkanie zakończyło się remisem 1:1. Kolejne dwa mecze przeciwko lubinianom rozegrał w tym sezonie, reprezentując GKS. Jeden mecz przegrał 0:1, drugi wygrał 1:0.

kropki nad „i”. Ostatecznie wygraliśmy, zdobyliśmy ważne trzy punkty i znów zapisaliśmy się w historii – przekazał skrzydłowy, były zawodnik... Zagłębia Lubin.

Mecz ten udowodnił, że drużyna trenera Góraka potrafi odnaleźć się w każdych warunkach. Oczywiście, zespół najlepiej wygląda, gdy spotkanie nie jest otwarte. Dowód tego widzieliśmy na własne oczy w poprzednim roku, gdy katowiczanie wygrali 4:3 z Cracovią na wyjeździe. Był to szalony mecz, w którym GKS po prostu odnalazł się znakomicie. Spotkanie z lubinianami w miniony weekend było jednak znacząco inne. Żadna ze stron nie chciała się wychylić, żeby przez przypadek nie otrzymać ciosu od rywala. Dlatego najważniejsza była cierpliwość. I tej GieKSy nie zabrakło. Spokojnie czekała na swoją szansę, a gdy w końcu takowa się pojawiła, zdobyła gola na wagę zwycięstwa. Tym samym zawodnicy GKS-u odegrali się lubinianom za porażkę jesienią. Wówczas mecz był bardzo podobny – choć padło więcej celnych strzałów (w minioną niedzielę tylko dwa, oba autorstwa gospodarzy) – i o wyniku rywalizacji także zdecydowała jedna bramka. Strzelił ją pod koniec meczu Hubert Adamczyk, który debiutował wtedy w Zagłębiu. Tym razem lubinianie niewiele mogli zrobić przy szczelnej defensywie z Katowic.

Kacper Janoszka



Ousmane Sow (z prawej) – jeden z kilku wygranych meczu w Gdańsku.

Fot. Piotr Matusiewicz / Press Focus

Dzięki nim Górnik wygrał

Ostatni ligowy mecz zabrzan w Gdańsku miał kilku bohaterów.

GÓRNIK ZABZE

Za zabrzanami trudny i daleki wyjazd nad Bałtyk. W pełni udało się wypełnić założone cele i przywieźć do domu komplet punktów, co w ostatnich latach, grając z Lechią na jej terenie, w ogóle nie wychodziło (pierwsza wygrana od 2013).

Bohater oczywisty

Ledwie po raz drugi w tym sezonie między słupkami wystąpił Filip Majchrowicz i zagrał jak... Michał Szromnik na początku rozgrywek! Jego świetne interwencje pomogły utrzymać „Górników” w grze w I połowie. Zanotował kilka świetnych interwencji, w tym znakomicie wybronione goale karnego wykonywanego przez skutecznego w tym elemencie do tej pory Camilo Menę. Wiadac, że Majchrowicz i sztab bramkarski odrobili zadanie domowe. Mena kieruje piłkę z jedenastki w swoją lewą stronę, bramkarz zostawił tam więcej miejsca i rzucił się właśnie w tym kierunku, parując futbolówkę. To był jeden z kluczowych momentów niedzielnej rozgrywki.

Po transferze latem z Radomiaka Majchrowicz przeżywał ciężkie chwile, bo terminował na ławce. Nie grymasił, a pracował, za co został nagrodzony szansą gry w lidze i na razie spisuje się więcej niż poprawnie, pomagając drużynie.

Bohaterowie doświadczeni

Jak trwoga to do... zawodników z doświadczeniem, takich jak już prawie 40-letni Lukas Podolski i kapitan Erik Janża. To ładne trafienia tej dwójki w pierwszym kwadransie drugiej połowy dały dwa gole i zwycięstwo 2:1. Dla „Poldiego” był to czwarty gol w rozgrywkach. Janża, po siedmiu asystach we wcześniejszych ligowych grach, w końcu zanotował ważne trafienie. Razem z Majchrowiczem znalazł się zresztą w jedenastce 24. kolejki. Słowniec ma już też osiem punktów w klasyfikacji kanadyjskiej i tylko o jeden punkt jest gorszy w Górniku od swojego rodaka Luki Zahovicia (sześć bramek, trzy asysty).

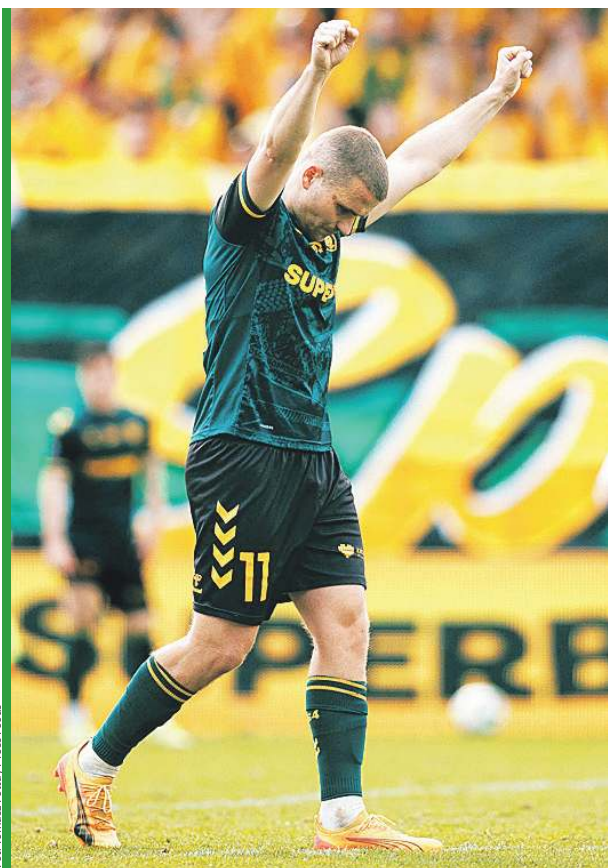
Bohater nieoczywisty

W przerwie meczu w Gdańsku w szatni górniczej jedenastki było dość głośno i padło kilka mocnych słów, o czym mówili po meczu sami piłkarze i trener Jan Urban. Szkoleniowiec dokonał też dwóch zmian. Na boisko weszli Filip Prebsl i Ousmane Sow. Szczególnie wejście Senegalczyka wniosło sporo ożywienia. To też po jego akcji prawą stroną zwycięskiego gola, zresztą niezwykle efektownego, strzałem pod poprzeczkę zdobył Janża.

– W drugiej połowie dokonaliśmy zmian i wszystko nam się dobrze ułożyło. Zrobiliśmy dwie zmiany,

przeprowadziliśmy dwie akcje i zdobyliśmy dwa gole. To pomogło, drużyna uwierzyła, że można. Potem mecz się wyrównał. Lechia też starała się wyrównać, a my mieliśmy swoje szanse, żeby zamknąć spotkanie. Co zrobić, żeby nie wyglądało to tak, jak w pierwszej połowie? Nie wiem, może trenera zmienić na tę połowę... – zastanawiał się z uśmiechem na ustach Urban. – Takie mecze w piłce po prostu są. Mimo tego, że spodziewasz się tego, co może się wydarzyć, dajesz się zaskoczyć. Co mnie cieszy, to że w drugiej połowie byliśmy w stanie odwrócić losy meczu na swoją korzyść, co w grze z tak zdefiniowanym i grającym tak intensywny futbol jak w pierwszej połowie Lechia nie jest łatwe. To trudna sprawa. Nam się to udało i chwala chłopakom. Mecz trwał 90 minut, potrafiliśmy się odbudować i udało się odrobić straty. Co do nowych graczy, to są trudni do rozszyfrowania. To będzie trwało. Chciałem dołożyć w II połowie mięśnia, fizyczności. Młody Sarapata ma problemy w takiej grze, Furukawa też nie jest orłem w takim przepychaniu. Prebsl ma odpowiednie warunki fizyczne, a Sow szybkość. Z tego chcieliśmy skorzystać i w miarę dobrze to wyszło, bo Senegalczyk też miał jeszcze swoje sytuacje pod bramką rywala – podsumował trener zabrzańskiej drużyny.

Michał Zichlarz



Adrian Błąd zaliczył ostatnią asystę przy Bukowej.



Fot. Grzegorz Misiak / Press Focus

Liderzy przez duże „L”

Gustav Berggren i Kacper Trelowski to dziś liderzy „Medalików”.

Myślimy już o Legii. Chcemy zwyciężyć – mówi trener Marek Papszun, promując jednocześnie swoich czołowych piłkarzy w jedenastce wygrywającej kolejne mecze.

RAKÓW CZĘSTOCHOWA

Kolejnym po Władysławie Koczerhinie piłkarzem, który zdecydował się dłużej występować w klubie spod Jasnej Góry, jest Gustav Berggren. Kontrakt szwedzkiego pomocnika będzie obowiązywał do 30 czerwca 2026 roku. „Gusti” został zawodnikiem Rakowa w lipcu 2022 roku. W czerwono-niebieskiej koszulce zadebiutował 7 sierpnia w wyjazdowym spotkaniu przeciwko Górnikowi Zabrze. Swojego pierwszego gola strzelił 27 maja 2023 roku, pokonując bramkarza Zagłębia Lubin.

Dobrze zna swoich piłkarzy

Przypadek Szweda w Rakowie jest szczególny. Trener Marek Papszun w mistrzowskim sezonie rzadko na niego stawiał, nie był do niego przekonany. Berggren skorzystał dopiero na zmianie trenera i u Dawida Szwargi stał się liderem drużyny. Po powrocie Papszuna zachował miejsce w pierwszym składzie, ale po słabym, przegranym meczu z GKS-em Katowice – to jego błąd dał gościom zwycięską bramkę – mógł to miejsce stracić. Na szczęście dla wiceliderów ekstraklasy tak się nie stało; potwierdziło się, że trener Papszun doskonale zna swoich piłkarzy. Począwszy od wygranego meczu z Lechem na Bułgarskiej, Berggren był królem polowania. Dominował w środku pola, z łatwością przechwytywał piłkę, napędzał akcje częstochowskiej drużyny. Stał się jej prawdziwym liderem, nic zatem dziwnego, że i postrzeganie jego pryncypała nabrało nowych barw. – Odchodząc

z Rakowa, nie myliłem się, że to zawodnik, który będzie wartością dodaną zespołu – mówi Marek Papszun. – Potrzebował czasu na adaptację, a charakter, osobowość, ale i umiejętności predysponowały go do tego, co dzisiaj widzimy, czyli do roli lidera zespołu. Lidera przed duże „L”. Byłoby szkoda, gdyby latem od nas odszedł. Z drugiej strony kariera jest jedna, życie jest jedno, więc ja też kibicuję, by moi zawodnicy odchodzili do jak najlepszych klubów. Ale „Gusti” tu i teraz walczy z nami o mistrzostwo kraju.

Dodajmy, że 27-letni Szwed wystąpił do tej pory w 90 ekstraklasowych meczach i strzelił siedem goli. W 2023 roku wywalczył z Rakowem mistrzostwo Polski. – Cieszy mnie, że nasza kadra jest szeroka, rywalizacja na wielu pozycjach się klaruje, ale wszyscy muszą dojść do optymalnej dyspozycji, byśmy byli w stu procentach zadowoleni – podkreśla trener Papszun.

14. czyste konto

Równie mocne notowania ma nie tylko w Częstochowie – bo wymienia się go także w kontekście reprezentacji – bramkarz Kacper Trelowski, który w spotkaniu z Piastem w Gliwicach po raz 14. w tym sezonie zachował czyste konto. Mało tego, zaliczył genialną asystę przy bramce Jonatana Brunesa, posyłając do norweskiego napastnika „szczura” przez pół boiska. To podanie pokazywane było potem wiele razy przez wszystkie telewizje. – Zamiar na pewno nie był przypadkowy, a kwestia wykonania, to już proszę o to zawodnika zapytać – uśmiechał się

trener Rakowa na pytanie o ten niecodzienny bramkowy „akompaniament” swego golkipera. – Brawo dla „Trela” nie tylko za asystę, bo rzadko się zdarza, by bramkarz taką zaliczył, ale i za kolejne czyste konto. Składam mu więc podwójne gratulacje, bo to, co robi w tym sezonie, jest imponujące nawet dla mnie, chociaż już dużo widziałem i przeżyłem w piłce.

Przygotowania pod Legię

Tymczasem od początku tygodnia w Częstochowie pełną parą idą przygotowania do jednego z najważniejszych wydarzeń sezonu, niedzielnego pojedynku z Legią. – Myślimy już o niej. Chcemy zwyciężyć – uśmiecha się trener Papszun, nie ukrywając oczekiwań. – Czekamy jednak na kolejne spotkanie, ale jesteśmy dobrej wiary. Wierzę w zespół, a przecież będą jeszcze nasi kibice, nasz 12. zawodnik, co doda nam skrzydeł. Jest to już ten etap rozgrywek, że pomału się wszystko zaczyna klarować, więc tym bardziej te małe rzeczy są ważne. Do każdego meczu tak samo się przygotowujemy, a tak naprawdę dla nas najważniejsza jest nasza strategia, nasz pomysł. Zaczęliśmy ostatnio wygrywać także u siebie, choć wcześniej domowe mecze nie były dla nas łatwe. Presja wewnętrzna na wygrywanie, nakładana także przeze mnie, może nieuzasadniona, sprawiała, że nie byliśmy gotowi podołać zadaniu. Na wyjazdach, gdzie ciśnienie było mniejsze i teoretycznie rzadko byliśmy faworytem, łatwiej nam się grało. Ale teraz boisko Rakowa znów jest areną trudną do zdobycia.

Zbigniew Ciećciała

Czeski film w Szczecinie

Piłkarze i sympatycy „Dumy Pomorza” nie mogą spać spokojnie, bo prezes klubu Nilo Effori ulotnił się jak kamfora.

POGOŃ SZCZECIN

Powiedzieć, że najbliższa przyszłość „Portowców” jest niepewna, to nic nie powiedzieć. Fakty są takie, że nowy prezes Pogoni, Brazylijczyk Nilo Effori, wyjechał ze Szczecina i słuch o nim zaginął. Przypomina mi to trochę czeską komedię „Nikt nic nie wie”, jako alternatywne rozwiązanie sugerowałbym inną produkcję z tego kraju – „Nikogo nie ma w domu”.

Dobra, dosyć żartów, bo nikomu – zwłaszcza w Szczecinie – nie jest do śmiechu. W trakcie weekendu nowy sternik klubu „wysmarował” przydługawy komunikat, w którym czytamy: „Jak wielu z was wie, pomimo moich starań, główny finansujący, stojący za przejęciem Pogoni, niespodziewanie wycofał się na ostatnim etapie. Niemniej jednak, w obliczu braku jakiegokolwiek wiarygodnej i realnej alternatywy, pozostałem zdecydowany w moim zaangażowaniu w klub, jego zawodników i zagorzałych fanów miasta Szczecina. Istnieje wiele spekulacji na temat mojego wyjazdu z miasta. Chcę powiedzieć to jednoznacznie – moje oddanie codziennym działaniom Pogoni nigdy nie osłabło. Pozostaję w pełni zaangażowany w sprawy klubu, ciężko pracując, aby zapewnić klubowi silną i ambitną przyszłość pomimo wyzwań, przed którymi stoimy”.

Powody „ucieczki”

Effori dalej pisze tak: „Choć ta podróż była zaplanowana, moja żona – która zasiada w radzie nadzorczej klubu i jest również moją partnerką zawodową – i ja byliśmy

poddani serii niepokojących incydentów, które ostatecznie sprawiły, że poczuliśmy się niebezpiecznie w mieście. W rezultacie podjęliśmy kroki prawne, zgłaszając te sprawy zarówno polskim władzom, jak i organom w Wielkiej Brytanii. Wierzymy, że sprawiedliwości stanie się zadość i doceniam wsparcie tych, którzy skontaktowali się z nami w tym trudnym czasie. Nawet po tych niepokojących wydarzeniach nie porzuciłem klubu, jego zawodników ani organizacji. Nadal pracowałem konsekwentnie z Londynu w Wielkiej Brytanii, aby zapewnić Pogoni lepszą przyszłość. Dzisiaj z przyjemnością potwierdzam, że pozyskaliśmy nowego inwestora – wyjątkową osobę z zasobami, wizją i globalną siecią kontaktów, aby wynieść Pogon na nowe wyżyny. To inwestor, z którego klub i miasto mogą być dumni i podekscytowani, witając go na pokładzie.

Dzięki tej nowej inwestycji wzmocnimy kierownictwo klubu dzięki ulepszonemu zespołowi zarządzającemu i radzie nadzorczej, zapewniając długoterminową stabilność i sukces. Naszym celem jest zbudowanie jednej z najsilniejszych struktur zarządzania w Polsce – takiej, która będzie w stanie doprowadzić ten klub do bezprecedensowych osiągnięć. Jesteśmy zaangażowani w odbudowę i podniesienie Pogoni do pozycji, na jaką zasługuje” – zaznaczył prezes od pewnej chwili na... uchodźstwie.

Puste deklaracje (na razie)

„Walne zgromadzenie akcjonariuszy zaplanowano na 21 marca, aby sformalizować

te zmiany i powitać nowego inwestora. Ponadto prowadzimy aktywne rozmowy z wierzycielami klubu w celu zorganizowania płatności i ustanowienia ustrukturyzowanego planu stabilności finansowej. Zapewnienie, że wynagrodzenia zawodników zostaną uregulowane przed 14 marca, pozostaje najwyższym priorytetem. Jesteśmy przekonani, że bez niepotrzebnych przeszkód rzucających nam w ciąg ostatniego tygodnia, osiągniemy ten cel. To czas na jedność, a nie podziały. Zapewnienie przyszłości klubu z odpowiednim inwestorem i wiarygodną strategią musi być naszym wspólnym priorytetem. Pogoń ma dumną historię i świetlaną przyszłość. Żadne osobiste plany ani próby zdyskredytowania mojej reputacji tego nie zmienią. Moim zobowiązaniem jest sukces klubu, a przy odpowiednim przywództwie i ambicji zbudujemy klub, z którego nasi kibice będą dumni”.

„Wykiwani” piłkarze

Słowa prezesa zostały pięknie „opakowane”, lecz za nimi nie poszły konkrety. Na ten moment fakty są takie: udało się wypłacić marcowe pensje pracownikom oraz przekonać SEC, żeby nie odcinać energii, natomiast piłkarze na razie wyszli na tej transakcji wyszli jak Zabłocki na mydle. Nie dostali ani grosza z zaległych pieniędzy, bo w klubie nie ma gotówki, którą obiecał prezes Effori. Pogoń potrzebuje pieniędzy nie za miesiąc, czy tydzień, ale na już. I co na to powiesz, drogi Watsonie?

Bogdan Nather



Fot. Katarzyna Udzierzyska / Press Focus

Na razie prezes Nilo Effori (w środku) robi dobrą minę do złej gry.

Dokąd zmierza Zagłębie?

„Miedziowi” od lat stanowią o szarżyźnie środka tabeli ekstraklasy, ale teraz niebezpiecznie zbliżają się do czerwonej strefy.

ZAGŁĘBIE LUBIN

Gdyby nie dwie wygrane z Puszczą Niepołomice, a więc lepszy bilans bezpośredni, dzisiaj to lubinianie otwieraliby strefę spadkową, mając punkt przewagi nad Lechią Gdańsk i siedem nad dolnośląskim rywalem z Wrocławia. Przez słabe wyniki pracę w Zagłębiu stracił Marcin Włodarski, którego następcą nie jest jeszcze znany. – Jest mi podwójnie przykro, bo to my postawiliśmy na trenera Włodarskiego i mocno w niego wierzyłem. Wniósł do Zagłębia nową energię i nowy pomysł, ale finalnie trzeba powiedzieć sobie szczerze, że ten projekt nie wypalił. Były kontuzje, problemy osobiste kilku piłkarzy, ale na końcu jest ligowa rzeczywistość i są punkty. Uznaliśmy, że to ostatni moment na zmianę, która pomoże nam zapewnić utrzymanie w ekstraklasie – przekonywał w Canal+ prezes „Miedziowych” Paweł Jeż.

Nie idą do przodu

Obecnie trudno stwierdzić, w którą stronę zmie-

rza Zagłębie. To klub, który od dłuższego czasu słynie ze znakomitej akademii i tego, że w pierwszym zespole mocno stawia się na młodych piłkarzy. Kto, jak kto, ale akurat lubinianie nie mieli problemu z realizowaniem żadnych form przepisu o młodzieżowcu. Udało im się wypromować takich zawodników jak Kacper Chodyna, Łukasz Łakomy, Łukasz Poręba, Patryk Szysz, Bartosz Białek czy Bartosz Slisz. Oczywiście, różnie toczą się kariery tych graczy, ale nie każdy puszczony dalej piłkarz musi być od razu nowym Robertem Lewandowskim. Problem jednak w tym, że Zagłębie zdaje się promować dla samego promowania. Od lat jest to bowiem klub, w którym nic nie idzie do przodu. Na pieniądze nie można tam narzekać. Patronat miedziowego potentata KGHM gwarantuje stabilne finanse i wcale nie małe kontrakty, choć czołowa spółka skarbu państwa przechodzi ostatnio trudniejsze

chwile i nie wiadomo, czy w końcu nie znudzi się jej finansowanie piłkarskiego przeciętniactwa. Tym bardziej że pod koniec zeszłego roku audyt KGHM wykazał liczne uchybienia finansowe i organizacyjne w klubie piłkarskim – rozrzutność i niegospodarność.

Michniewicz wchodzi do gry?

Mimo że w Zagłębiu w teorii wszystko się zgadza, to zespół ten od niemalże dekady nie potrafi wyjść poza ligową przeciętność. Od sezonu 2016/17 zajmuje miejsca w przedziale 6.-13. Tylko kampanię 2015/16 zakończył na najniższym stopniu podium, co uczynił... jako beniaminek. Przed spadkiem sytuacja zresztą wyglądała podobnie, a jeszcze wcześniejsze lata to już historia zbyt zamierzchła, by do niej wracać (na przykład mistrzostwo Polski z 2007 roku).

W Lubinie zdają się nie wiedzieć, o co im

37
ŻÓŁTYCH KARTEK
obejrzało w ekstraklasie Zagłębie Lubin. To najmniej spośród wszystkich drużyn.

CZY WIESZ, ŻE...

■ „Miedziowi” mają najgorszy atak w ekstraklasie (20 goli), mimo że... oddali najwięcej uderzeń. Średnia wynosi 11,33 strzału na mecz, sęk w tym, że mało który leci w światło bramki. – Mieliśmy sytuacje, ale niestety nie były wykorzystywane. Musimy nad tym pracować i strzelać gole, bo gdy się nie strzela, trudno wygrywać – powiedział po ostatniej porażce z GKS-em Katowice obrońca Michał Nalepa.



Czy Czesław Michniewicz wróci do Lubina?

Fot. Rafał Oleksiewicz / Press Focus

właściwie chodzi. W tym sezonie drużynę najpierw prowadził trenerski nestor Waldemar Fornalik, którego zastąpił prawie 20 lat młodszy przedstawiciel zupełnie innej myśli szkoleniowej Marcin Włodarski. Teraz drużyna znowu może zostać objęta przez przedstawiciela starszego pokolenia, bo raz, że kandydatem do pracy w Lubinie po raz trzeci w karierze jest Piotr Stokowiec, a dwa, że najnowszą i na ten moment najpoważniejszą kandydaturą dotyczy... Czesława Michniewicza; tak twierdzi „Piłka Nożna”. Były selekcjoner reprezentacji Polski od kilku miesięcy pozostaje bez pracy po nieudanej przygodzie w Maroku, a jego zwolennikiem ma być prezes Jeż. Michniewicz prezentuje jednak zupełnie inny futbol niż Włodarski i Fornalik, co każe zwątpić w wizję długoterminową, jaką mają zarządzający Zagłębiem, jeśli w ogóle takowa istnieje. Inna sprawa, że to właśnie były selekcjoner zdobył z „Miedziowymi” wspomniane mistrzostwo 18 lat temu.

Piotr Tubacki

Angola wzywa

Afimico Pululu, gwiazda Jagiellonii, przykuł uwagę skautów ze swojej ojczyzny. 25-letni napastnik, który w tym sezonie strzelił 18 goli w 39 występach, po raz pierwszy w karierze otrzymał powołanie do reprezentacji Angoli, która w czwartek 20 marca zagra w eliminacjach mistrzostw świata na wyjeździe z Libią. Urodzony w stolicy kraju Luan-dzie napastnik w kadrze będzie grał razem z takimi postaciami jak stoper David Carmo (Olympiakos), lewy obrońca Clinton Mata (Lyon), skrzydłowy Milton (Crvena zvezda) czy napastnik M'Bala Nzola (Lens), którego snajper mistrza Polski będzie musiał wygrać. – Plany powołania go były od dawna. Raz nie mógł przyjechać, bo złapał covid. To były pierwsze momenty epidemii. Oczywiście, gdy był bardzo młody, liczył, że może zagra dla reprezentacji Francji, czyli kraju, w którym się wychował. Taka myśl jest czymś naturalnym. Natomiast ostatecznie zagra dla nas – mówił w goal.pl przed zatwierdzeniem wszystkich formalności portugalski selekcjoner Angoli Pedro Soares Goncalves.

(PTub)

Wciąż dziurawi

PIAST GLIWICE

Do jesieni poprzedniego roku Aleksandar Vuković nie tylko nie musiał się martwić o grę obronną, a wręcz przeciwnie – miał powody do zadowolenia i chwaleń. Defensywa gliwiczian miała renomę w całej lidze, a przez pewien czas śląska drużyna traciła najmniej goli w Polsce.

Niepewna obrona

Ten sielankowy obraz jednak się zmienił, bo dziś Piast w defensywie bywa niepewny, czasem chaotyczny i nerwowy. Mecz z Rakowem był tego świetnym przykładem. Szybkie zagranie od bramkarza stworzyło częstochowanom okazję sam na sam z Frantiszkiem Plachem, a goście spod Jasnej Góry byli w stanie jednym podaniem rozmontowywać gliwickie zasieki. Obecnie bilans bramkowy Piasta

pokazuje 24 stracone gole, co i tak wciąż nie jest najgorszym osiągnięciem, ale już dalekim od normy, do której ekipa Piasta

przyzwyczaiła kibiców i... przeciwników. Jeszcze zimą trener Vuković przekonywał, że priorytetem jest właśnie skuteczna



Miguel Munoz (w środku) popełnił prosty błąd w meczu z Rakowem, który kosztował utratę bramki.

Fot. Grzegorz Misak / Press Focus

gra w obronie i chcąc poprawić ofensywę przy Okrzei, nie można zapomnieć o tyłach. Do meczu z Rakowem Piastowi dopisywało szczęście, ale w kolejnych spotkaniach tak już nie musi być.

Trudno o następcę

Być może główną przyczyną takiego stanu jest brak stabilizacji. Do niedawna podstawowy duet defensorów tworzyli Jakub Czerwiński i Ariel Mosór. Na początku tego sezonu młodzieżowy reprezentant Polski został jednak sprzedany do Rakowa. Od tamtej pory nie można powiedzieć, że gliwiczanie wypełnili po nim lukę i mają nową, stałą parę środkowych obrońców. Trener Piasta próbował już różnych wariantów. Swoje minuty otrzymał Słowak Tomas Huk, którego doświadczenie przy Okrzei jest największe, a także Hiszpan Miguel Munoz czy pozy-

skany zimą Portugalczyk Miguel Nobrega.

Proste błędy

Nikt jednak nie jest na razie w stanie być takim partnerem dla Czerwińskiego, jakim był Mosór. Teoretycznie najbliższym tego powinien być Huk, ale Słowak ostatnio nie grał z powodu choroby, a często, nawet zaliczając dobre spotkania, zdarzają mu się indywidualne błędy. Właśnie one są ostatnio zmartwieniem gliwiczanych defensorów. – Uważam, że Raków nie prezentował jakichś fajerwerków, było to raczej proste granie. My popełniliśmy przy tych sytuacjach bramkowych proste błędy, których musimy się wystrzegać. Nie przystoi takiej drużynie jak my, przy naszej organizacji, żeby tracić takie bramki – słusznie podsumował napastnik Piasta Maciej Rosołek.

(KRIS)



Fot. Marcin Bulanda / Press Focus

Soma Novothny (z lewej) i Daniel Szczepan (w środku) odpowiadają za 11 z 35 bramek, jakie w I lidze zdobył Ruch.

A jednak to kłopot

Przed sezonem wydawało się, że napastnicy będą jednym z największych atutów „Niebieskich”. Rzeczywistość nie jest jednak kolorowa.

RUCH CHORZÓW

Mimo zainteresowania klubów zagranicznych i ekstraklasowych Ruch po spadku utrzymał w kadrze dwóch napastników, Daniela Szczepana i Somę Novothny'ego. Z tym drugim było trochę czekania i trwania w zawieszaniu. Węgier nie zaczął przygotowań z zespołem i dopiero po czasie zdecydował się na przedłużenie umowy – i to do czerwca 2027 roku z opcją prolongaty o kolejny rok. 16 czerwca 2028 roku Novothny skończy 34 lata, Szczepan (z kontraktem do 2027) jest rok młodszy.

Obrońca napastnikiem

Przed sezonem wydawało się, że Ruch będzie dysponował topową, a może nawet i najlepszą obsadą na pozycji napastnika w I lidze. W końcu „Szczeppek” strzelił w ekstraklasie 10 goli w 31 występach (pal ichto, że połowę z karnych, a wg statystyki bramek oczekiwanych xG powinien mieć więcej trafień), zaś Novothny po przyjściu zimą strzelił cztery gole (i miał dwie asysty) w 13 występach. Węgier został pierwszym obcokrajowcem, który zdobył dla chorzowian bramkę w Wielkich Derbach Śląska, a jego forma wystrzeliła w końcówce, co dawało nadzieje na jeszcze lepszą dyspozycję na niższym szczeblu. Podobnie miało być zresztą ze Szczepanem, bo skoro notuje się dwucyfrowy wynik w ekstraklasie, to dlaczego na jej zapleczu miałyby być inaczej? Obaj napastnicy mają jednak kłopoty, a kibice coraz częściej zastanawiają się, czy klub nie potrzebuje czasem jeszcze kogoś na „szpicie”.

Gdy z Arką Gdynia w minioną sobotę z powodu karek zabrakło (drugi raz w tym sezonie) Szczepana, trener Dawid Szulczek nie miał alternatywy z prawdziwego zdarzenia. – Jako napastnik numer trzy w hierarchii naszej drużyny dzisiaj jest Jehor Cykało. W czeskiej ekstraklasie również grał na tej pozycji. Ma dobrą finalizację i głowę, i nogę, potrafi dobrze biegać w pressingu. W końcówce z Arką przesunęliśmy go wyżej i parę razy był blisko pola karnego, ale nie udało mu się dojść do czystej sytuacji strzeleckiej – mówił o ukraińskim obrońcy Szulczek. Cykało ostatnio gra jako środkowy pomocnik, lecz zakres jego możliwości jest zdecydowanie szerszy.

Serie liczone miesiącami

Novothny z Arką był niewidoczny, co poniekąd nie mogło dziwić. To klasyczna „9”, w znacznej mierze uzależniona od podań kolegów, bez których jego przydatność jest obniżona. Przeciwno gdynianom Węgier dostał jedno, może dwa dośrodkowania, ale o klarownej okazji nie było mowy. Na 23 kolejki Novothny zaliczył 20 występów, wszystkie od początku, a strzelił w nich cztery gole. Najlepszy okres miał w październiku i listopadzie, gdy w czterech kolejkach trzy razy wpisał się na listę strzelców. Oprócz tego trafił na inaugurację sezonu w Opolu, więc... jego serie bez gola należy liczyć

w miesiącach. Zdecydowanie nie tego po nim oczekiwano. – Soma z Arką starał się zrobić jak najwięcej dobrego, ale nie ma co ukrywać, że Daniel Szczepan jest ważną postacią tej drużyny. Gdyby w takim meczu jak z Arką był na boisku, to może skończyłoby się takim rezultatem jak w Gdyni – wspominał jesienny remis 1:1 Szulczek, gdy to właśnie „Szczeppek” trafił do siatki.

Za rzadko decydują

Szczepan to najskuteczniejszy zawodnik Ruchu z siedmioma trafieniami w 21 występach ligowych. To jego standardowa średnia, bo w sumie w 120 meczach dla „Niebieskich” zdobył 47 bramek. W tym sezonie ulubieniec trybun ma jednak kłopoty, zwraca się uwagę na jego mniejszą mobilność, problemy techniczne czy słabą regularność. „Szczeppek” strzela bowiem seriami. Trafił w 1. kolejce, potem w 5., 6. i 7., a następnie w 18., 19. i 22. Okresy bez gola były więc równie długie jak Novothny'ego, a to oznacza wiele spotkań, w których zespół nie może liczyć na swoich snajperów – zbyt rzadko są to jednostki decydujące o przechyleniu szali na korzyść Ruchu. Oczywiście, I liga to nie są rozgrywki łatwe dla napastników. W latach 2016-22 królowie strzelców nie przekraczali w nichbary 20 bramek, ale z drugiej strony... Angel Rodado ma ich obecnie 17, a Łukasz Zjawieński 15.

Piotr Tubacki

8
KLUBÓW
ma (lub miało)
w swoich szeregach
gracza, który strzelił
więcej goli niż najsuk-
teczniejszy w Ruchu
Szczepan. To: Wisła
Kraków (Rodado i Zwo-
liński), Polonia (Zjawie-
ński), Arka (Czubak, od-
szedł), Górnik Łęczna
(Warchol, Banaszak),
Znicz Pruszków (Stanc-
lik), Bruk-Bet Nieciecza
(Karasek, Zapolnik), Wi-
sła Płock (Jime), ŁKS
(Feiertag, odszedł).

Nowy, lecz stary sternik

Wojciech Łobodziński po ponad dwóch latach ponownie poprowadzi Zielono-niebiesko-czerwonych.

MIEDŹ LEGNICA

Działacze drużyny znad Kaczawy nie szukali długo następcy zwolnionego w niedzielę trenera Ireneusza Mamrota. Ich wybór padł na doskonale znanego im piłkarza, a później trenera Zielono-niebiesko-czerwonych, Wojciecha Łobodzińskiego. Urodzony 20 października 1982 roku w Bydgoszczy popularny „Łobo” od 26 sierpnia ubiegłego roku był bezrobotny, gdy działacze Arki Gdynia zakończyli z nim współpracę.

Powrót legendy

Nowa-stara „miotła” drużyny z Legnicy to były reprezentant Polski, który uczestniczył w mistrzostwach Europy w 2008 roku. Łobodziński był związany z „Miedzianką” przez 10 lat, najpierw jako piłkarz (od 24 sierpnia 2012 roku do 1 sierpnia 2020 roku), a później jako szkoleniowiec (najpierw był asystentem trenera w rezerwach, później w pierwszym zespole, współpracując z Jarosławem Skrobaczem

i Janem Wosiem, a od 1 lipca 2021 roku pełnił obowiązki trenera pierwszego zespołu). W tym charakterze awansował z Miedzią do ekstraklasy (wcześniej dokonał tej sztuki jako piłkarz), ale rozstał się z zespołem 11 października 2022 roku. Dowodzony przez niego zespół nie zaspokoił apetytu właściciela klubu, Andrzeja Dadełty, chociaż pod względem umiejętności i potencjału nie był to zespół na miarę elity. Ale efekt nie mógł być inny, skoro dyrektor sportowy Marek Ubych sprowadził przeciętnych piłkarzy. Jedyne ich zaletą był fakt, że są obcokrajowcami! Teraz mamy tę samą „melodię”, gdy do Legnicy trafił 29-letni napastnik ze Szwecji, Gustav Engvall. Rozegrał do tej pory cztery mecze i ani razu nie wpisał się na listę zdobywców bramek, nie ma też na koncie asysty.

Dobre statystyki

Wychowanek bydgoskiego Zawiszy trafił do Miedzi w 2012 roku. W pierwszym zespole rozegrał 184 oficjalne mecze, w których strzelił 34 gole. Jako kapi-

tan drużyny wprowadził legniczan do ekstraklasy, zdobywając mistrzostwo Nice 1. Ligi w sezonie 2017/18. W ekstraklasie w zespole Zielono-niebiesko-czerwonych rozegrał 16 meczów. Jako trener pierwszego zespołu zadebiutował w wyjazdowym z Odrą Opole (4:1), zaś do ekstraklasy wszedł z przystupem, zdobywając na jej zapleczu aż 77 punktów i wyprzedzając Widzew Łódź o 15 „oczek”, a Arkę Gdynia o 16 punktów.

Zespół znad Kaczawy Łobodziński prowadził do tej pory w 34 meczach na szczeblu I ligi, odnosząc w nich 23 zwycięstwa, notując osiem remisów oraz ponosząc trzy porażki, przy bilansie bramkowym 56:22. Łącznie za jego trenerskiej kadencji Miedź zanotowała 25 wygranych, 10 remisów i 13 porażek (w tym jedną po rzutach karnych), bramki 73:46. Do klubu z Legnicy wrócił po niespełna 2,5-letniej przerwie.

Numer zastrzeżony

Przy tej okazji warto, a nawet wypada dodać, że Łobodziński jest jedynym piłkarzem w historii „Miedzianki”, którego numer został zastrzeżony. Śmiało można więc o nim napisać, że jest klubową legendą. Od października 2022 roku już żaden inny piłkarz pierwszego zespołu Zielono-niebiesko-czerwonych nie zagra z numerem „4” na koszulce. – Z jednej strony nie spodziewałem się, że mój powrót do Miedzi nastąpi tak szybko, a z drugiej wiedziałem, że to się kiedyś stanie – przyznał Wojciech Łobodziński. – Gdy rozstawaliśmy się z panem Andrzejem Dadełtą, „umówiliśmy się” na współpracę w przyszłości. Wszystko potoczyło się bardzo szybko, bo byłem na miejscu w Legnicy, obserwowałem Miedź i chcę dać tej drużynie to, co dawałem wcześniej. Nabrałem doświadczenia – to, co działało się u mnie przez ostatnie dwa lata, na pewno procentuje w mojej pracy. Wyciągnąłem wnioski i czekam na kolejne wyzwania. Legnica to wyjątkowe miejsce w moim życiu, a „Miedzianka” jest wyjątkowym klubem. Cieszę się na tę współpracę.

Bogdan Nather



Fot. miedzilegnica.eu

Wojciecha Łobodzińskiego znowu zobaczymy na trenerskiej ławce w Miedzi Legnica.

Włochy – piłkarskie niebo

Ledwie kilku Polaków zrobiło wielką karierę w Serie A. Co działo się, jak i gdzie teraz grają pozostali Biało-czerwoni, którzy w ostatnich latach trafili na Półwysep Apeniński?

Aktualnie we włoskiej Serie A gra 12 Polaków. Spora część z nich związana jest z włoskim futbolem od lat. Piotr Zieliński (Inter), Paweł Dawidowicz (Hellas), Łukasz Skorupski (Bologna), Karol Linetty (Torino) to piłkarze, którzy ugruntowali swoją pozycję na Półwyspie Apenińskim. To samo zresztą możemy powiedzieć o Arkadiuszu Miliku, choć on zmagając się z kontuzją i w tym sezonie nie zagrał jeszcze ani jednego meczu w Juventusie. Nieco krócej we Włoszech jest Sebastian Walukiewicz, który stanowi o sile bloku defensywnego Torino. Jednak nie wszyscy Polacy we włoskiej lidze są wysoko w hierarchii swoich klubów. Niektórzy o swoje miejsce muszą walczyć. Kariera Adriana Benedyczaka, który był podstawowym napastnikiem Parmy w poprzednich rozgrywkach, gdy drużyna grała w Serie B, została wyhamowana przez kontuzje. Filip Marchwiński od momentu transferu do Lecce zagrał 14 minut na boiskach Serie A. Było to w meczu pierwszej kolejki z Atalantą, a później siedział na ławce, leczyl uraz stawu skokowego, potem znów wrócił na ławkę, a teraz przechodzi okres rekonwalescencji po zerwaniu więzadła krzyżowego. Z kolei Szymon Żurkowski w Serie A zadebiutował szybko, w 2019 roku. Teraz gra w Empoli, do którego wypożyczony jest z drugoligowej Spezii, ale w regularnej grze w trzeciej najgorszej drużynie w lidze przeszkadzają mu kontuzje. Znacząco spowolniła też kariera Kacpra Urbańskiego, który w poprzednim sezonie dostawał stosunkowo dużo szans w Bolonii, ale po letniej zmianie trenera grał coraz mniej. Zimą został więc wypożyczony do najgorszej w lidze Monzy, gdzie na początku grał od deski do deski, a ostatnio dostaje coraz mniej minut (w sobotnim meczu z Interem nie wszedł nawet na murawę). Całkiem odosobnionym przypadkiem jest Nicola Zalewski, jeden z najlepszych

zawodników reprezentacji Polski w 2024 roku. W Romie w tym sezonie grał nieregularnie, więc zimą... przeniósł się do jeszcze mocniejszej drużyny, Interu Mediolan. W barwach tego zespołu zagrał na razie trzy mecze, a w ostatnich meczach nie wybiegł na boisko, bo leczył uraz łydki.

Serie A należy do pięciu najsilniejszych lig na świecie. I z jednej strony możemy cieszyć się z tego, że od lat występują w niej Zieliński, Skorupski czy Linetty, ale z drugiej zastanawiający jest fakt, jak wielu polskich zawodników w ostatnich latach wyłączało we Włoszech i jak wielu z nich nie zrobiło tam kariery. Patrząc na listę Polaków, którzy aktualnie znajdują się we włoskich klubach z najwyższej klasy rozgrywkowej, trudno przewidzieć, jak potoczy się tam przygoda Marchwińskiego czy Urbańskiego. Czy w najbliższym czasie będą stanowić o sile najlepszych włoskich klubów? A może będą tułać się po zespołach, które co roku walczą o utrzymanie? Być może całkowicie zrezygnują z gry we Włoszech i wyruszą świat lub wrócą do

Polski? Scenariuszy, które mogą się wydarzyć, jest bez liku, o czym świadczą poczynania wielu piłkarzy z Polski, którzy w ostatnich 10 latach zdecydowali się na przenosiny na Półwysep Apeniński.

Powrót do ojczyzny

W ostatnim oknie transferowym ciekawego ruchu na rynku dokonał kandydat do awansu do ekstraklasy, Bruk-Bet. Sprowadził do siebie Krzysztofa Kubicę z Motoru Lublin. Choć tak naprawdę transfer odbywał się pomiędzy klubem z Niecieczy a Benevento, bo do ekipy Mateusza Stolarskiego Kubica był tylko wypożyczony podczas rundy jesiennej. W Lublinie się nie sprawdził, w Benevento, w którym grał w Serie B i C, rozegrał w sumie 25 meczów ligowych, więc ostatecznie trafił na zaplecze ekstraklasy. Jego przypadek nie jest odosobniony. Wielu polskich piłkarzy przylatuje do Włoch, często podpisując umowę z zespołem z drugiego szczebla rozgrywkowego (lub ze słabszymi zespołami w elicie) z myślą o tym, że za nie-

długo uda im się przebić do czołówki Serie A. Marzenie o zrobieniu wielkiej kariery jest ogromne, ale wielu z tych marzycieli kończy... z powrotem w Polsce.

Tak też było w przypadku Jakuba Łabojko, który w 2020 roku dołączył do Brescii, po 1,5 roku uciekł na wypożyczenie do AEK-u Larnaka, a następnie znów grał w Serie B, w Brescii i Ternanie. Do Serie A się nie dostał, więc zimą bieżącego roku został zatrudniony przez Motor Lublin.

Znacznie szybszy powrót do ojczyzny zaliczył Michał Marcjanik, który w 2018 roku z Arki Gdynia przeszedł do Empoli. Po pół roku zmienił klub na Carpi, nie rozgrywając ani jednego meczu ligowego w obu drużynach. W kolejnym sezonie przyjechał więc do Polski w ramach wypożyczenia do Wisły Płock, a następnie na stałe wrócił do Gdyni.

W 2021 roku wielkim transferem były przenosiny młodego, 18-letniego Aleksandra Buksy z Wisły Kraków do Genoi. Szybko okazało się, że napastnik nie był gotowy na taki krok. Włoski klub po roku



wypożyczył go do Leuven, następnie do Standardu Liege, później do WSG Tirol. W sumie Buksa zagrał w czterech meczach w Serie A, a teraz wrócił do Polski i jest zawodnikiem Górnik Zabrze.

Do włoskiej elity piłkarskiej na stałe nie przedostał się także Marcin Listkowski. Podczas czterech lat spędzonych w Lecce i Brescii uzbierał 61 meczów w Serie B i zaledwie sześć spotkań na najwyższym szczeblu. Wrócił do Polski, sprowadziła go Jagiellonia, która zimą wypożyczyła go do Zagłębia Lubin.

Z podobnym problemem mierzył się Filip Jagiełło, który do Genoi trafił w 2020 roku, był wypożyczany do Brescii i Spezii, a ostatecznie wrócił do ojczyzny, gdzie został zatrudniony przez Lecha Poznań. Przez cztery lata we Włoszech roze-

grał 13 meczów w Serie A i 109 spotkań w Serie B.

Problemy zdrowotne nie pozwoliły we Włoszech rozwinąć się Patrykowi Dzikowski, który na Półwyspie Apenińskim spędził trzy lata (od 2019 do 2022 roku). Ściągnęło go Lazio, ale szybko wyłączało na wypożyczeniu w Salernitanie. Z uwagi na problemy z sercem w Rzymie nie mógł się rozwijać. Nie zadebiutował w Serie A i wrócił do Piasta Gliwice.

Rok we Włoszech wytrzymał Sebastian Musiolik. Po sezonie 2019/20 został wypożyczony z Rakowa Częstochowa do Pordenone w Serie B. Zagrał 31 meczów, strzelił w nich sześć goli, ale swojego wypożyczenia nie udało mu się przekuć w karierę na Półwyspie Apenińskim. Od czasu powrotu z Pordenone grał w Rakowie, Górniku Zabrze, a teraz jest zawodnikiem Śląska Wrocław. Sukcesów strzeleckich nie osiąga.

Tyle samo czasu poza granicami Polski co Musiolik spędził Michał Chrapek. W 2014 roku został sprzedany do Catanii. W Serie B zagrał w 21 spotkaniach, ale po jednym sezonie we Włoszech znalazł się kadry Lechii Gdańsk.

Lista zawodników, którzy w ostatnich latach odbili się od włoskich realiów i wrócili do Polski, jest długa. A podkreślimy, że większość z wymienionych piłkarzy jest w wieku 25-30 lat, w którym powinni przeżywać szczytową formę w swojej karierze.

Globtroterzy

Dla wielu polskich piłkarzy przygoda we Włoszech nie skończyła się powrotem do ojczyzny, a rozpoczęciem wędrówki po innych europejskich ligach. To jednak nie zawsze oznacza, że Serie



15-krotny reprezentant Polski Arkadiusz Reca (z prawej) nie przebił się do Serie A i gra na jej zapleczu.

zy piekło?

A była dla nich przepustką do wielkiej piłki. Jakub Kiwior, który ze Spezii przeniósł się do Arsenalu, jest jednym z niewielu wyjątków. Jemu udało przedostać się na salony poważnego futbolu na poziomie angielskiej Premier League (abstrahując od jego roli w zespole). Inni takiego szczęścia nie mieli. Przykładowo 29-letni Mariusz Stępiński gra aktualnie w Omonii Nikozja, w przeciętnej lidze cypryjskiej. Wcześniej swoją zagraniczną karierę budował w przeciętnych zespołach we Włoszech. Odwiedził Chievo, Hellas i Lecce. Na Półwyspie Apenińskim spędził pięć lat, grając w sumie w 78 meczach Serie A. Nie jest to zły wynik, ale doskonale pamiętamy, że dziewięć lat temu, gdy kończył przygodę z Ruchem Chorzów i przenosił się do Nantes (to stamtąd po roku znalazł się w Weronie), postrzegaliśmy go za ogromny talent. Czy więc pobyt we Włoszech pozwolił mu na rozwinięcie się na miarę swojego talentu? Niech każdy na to pytanie odpowie sobie sam.

Wyjątkowym piłkarzem, który po przygodzie we Włoszech musiał obniżyć swoje oczekiwania, jest Krzysztof Piątek. Napastnik zachwyił w sezonie 2018/19, od razu po transferze z Cracovii do Genoi. Strzelał jak na zawołanie, więc po pół roku kupił go Milan. W barach „Rossnerich” początkowo radził sobie nieźle, później coraz gorzej, więc w styczniu 2020 roku oddany został do Herthy. Od tego momentu jego kariera zaczęła iść w zupełnie odwrotnym kierunku niż przewidywano. Próbował wracać do Włoch dwukrotnie, żeby się odbudować. Ani we Fiorentinie, ani w Salernitanie nie był już jednak tym samym snajperem, który zachwyił Serie A w debiutancim sezonie. Ostatecznie wylądował więc w Baskeshrze. Teraz jest najlepszym strzelcem ligi tureckiej, co można uznać za spore osiągnięcie, ale przecież mieliśmy wobec niego ogromne nadzieje na zrobienie kariery w lidze z TOP 5.

Nadzieje na fenomenalną karierę we Włoszech miał też Mateusz Wieteska. Po roku gry we francuskim Clermont przeniósł się w 2023 roku do Cagliari. Po 1,5 roku klub zdecydował się go wypo-

życzyć do PAOK-u. Oczywiście ma jeszcze szansę na zaistnienie w Serie A, ale sam półroczny transfer do Grecji mówi wiele.

W tym samym kraju w ostatnim oknie transferowym znalazł się Karol Świdorski, który jest zawodnikiem Panathinaikosu. Rok temu napastnik zdecydował, że po dwóch latach gry w MLS w barwach Charlotte chce wrócić na Stary Kontynent. Został wypożyczony w lutym 2024 roku do włoskiego Hellasu. W Serie A nie zachwycił, więc wrócił do Stanów Zjednoczonych, a teraz na stałe przeniósł się do Grecji, gdzie zresztą zaczęła się jego zagraniczna przygoda (w 2019 roku zamienił Jagiellonię na PAOK).

Na wypożyczeniu z Salernitany (druga najgorsza drużyna Serie B w bieżącym sezonie) wylądował Mateusz Łęgowski, który na Półwyspie Apenińskim zameldował się latem 2023 roku. Co ciekawe, w poprzednim sezonie w Salernitanie grał regularnie, choć często wchodził z ławki. W sumie uzbierał 29 meczów. Po spadku został mimo wszystko oddany na rok do szwajcarskiego Yverdon Sport.

Włoski futbol zweryfikował także Dawida Kownackiego. Wychowanek Lecha Poznań w 2017 roku dołączył do Sampdorii, żeby chwilę później zamienić ją na niemiecką Fortunę Duesseldorf. Później trafił z powrotem do Lecha, a w ostatnim czasie występował za naszą zachodnią granicą w Werderze Brema i Fortunie, głównie na poziomie 2. Bundesligi. W niemieckiej elicie zagrał w 52 meczach, w których zdobył cztery gole.

Po latach spędzonych we Włoszech kraj ten opuścił także na rzecz słabszej ligi Bartłomiej Drągowski. Od 2016 roku grał we Fiorentinie, Empoli i Spezii aż do stycznia 2024 roku. Wówczas został wypożyczony do Panathinaikosu i tam pozostał.

Włoska kariera

Gdy wykreślimy wspomnianych zawodników z listy wszystkich Polaków, którzy na dłużej bądź krócej odwiedzili Włochy w celu gry w piłkę nożną, okaże się, że na prawdę niewielu piłkarzy potrafiło tam zrobić zawrotną karierę. Wspomnieliśmy na początku



Po czterech latach bez sukcesów we Włoszech do Polski powrócił Marcin Listkowski.

o Zielińskim, Skorupskim, Linettym czy Dawidowiczu. Prawda jest jednak taka, że tylko dwóch pierwszych może szczycić się poważnymi sukcesami w Serie A. Zieliński został mistrzem Włoch z Napoli w sezonie 2022/23. Skorupski z kolei w poprzednim sezonie wywalczył awans z Bologną do Ligi Mistrzów. W przeszłości wiele we włoskim futbolu znaczył Wojciech Szczęsny. Najpierw grał w Romie, następnie w Juventusie, gdzie był następcą Gianluigiego Buffona. Ze „Starą Damą” trzykrotnie sięgał po scudetto. Z kolei, przyszykując oko na aktualną sytuację Zalewskiego, zaznaczmy, że w 2022 roku sięgnął z Romą po zwycięstwo w Lidze Konferencji. Dzięki grze we Włoszech fenomenalną karierę zrobił Kamil Glik. Został pierwszym obcokrajowcem w historii, który został kapitanem Torino. Po opuszczeniu Serie A grał w Monaco, z którym w 2017 roku dotarł do półfinału Ligi Mistrzów. Z tym klubem został też mistrzem Francji.

I na tym właściwie kończą się piękne piłkarskie historie Polaków, którzy w ostatnich latach grali we Włoszech. Niewiele było w stanie dostać się na futbolowe wyżyny.

Na zapleczu

Co więc dzieje się z pozostałymi zawodnikami? Wystarczy spojrzeć na to, kto aktualnie gra w Serie B, żeby zrozumieć, jak trudno Polakom przebić się do najlepszych ekip na najwyższym szczeblu roz-

grywkowym. W tej lidze aktualnie gra ośmiu Białoczerwonych.

Jednym z nich jest Paweł Jaroszyński (Salernitana), który we Włoszech po raz pierwszy znalazł się w 2017 roku. Do świądomości widzów Serie A nigdy się szczególnie nie przebił. Zagrał w niej 43 spotkania.

Drugi na liście jest wychowanek Rozwoju Katowice Przemysław Szymiński, który w 2017 roku zamienił Wisłę Płock na Palermo. Następnie grał we Frosinone, Regganie i znów wrócił do Frosinone. Wynik? Jeden występ w Serie A.

W październiku 2023 roku Michał Probiez zaskoczył wszystkich, powołując na zgrupowanie reprezentacji defensora Patryka Pedę. Selekcjoner zapewne widział coś specjalnego w wychowanku akademii Legii Warszawa, ale na razie 22-latek zatrzymał się w piłkarskim rozwoju. Nie miał okazji na debiut w Serie A, a w bieżącym sezonie, grając w Serie B w barwach Palermo (jesienią) i Juve Stabia (od zimy), uzbierał zaledwie trzy mecze.

W styczniu 2022 roku ze Śląska Wrocław do Hellasu trafił Mateusz Praszelik. Co teraz dzieje się z 24-latką? Regularnie gra w zespole Sudtiroł w Serie B. W debiutancim sezonie w Serie A był na boisku przez 23 minuty w dwóch meczach. Na tym licznik się zatrzymał.

Gdy selekcjonerem kadry był Jerzy Brzęczek, często powoływanie

otrzymywał Arkadiusz Reca. Dynamiczny lewy obrońca po raz ostatni w reprezentacji zagrał w marcu 2022 roku (przeciwko Szkocji), kiedy zespołem narodowym rządził Czesław Michniewicz. W sumie Reca uzbierał 15 meczów reprezentacji. Teraz ma 29 lat i gra w Spezii. Jego doświadczenie w Serie A (113 meczów) nie pomogło mu w utrzymaniu się we włoskiej elicie.

Również w Spezii osiadł Przemysław Wiśniewski, który w 2022 roku przeniósł się z Górnika do Venezii. Teraz gra na drugim poziomie rozgrywkowym, a w Serie A do tej pory rozegrał zaledwie 14 meczów.

W Salernitanie próbuje odnaleźć się z kolei Szymon Włodarczyk, choć on przybył do Włoch tylko na chwilę, w ramach wypożyczenia ze Sturm Graz.

Spośród wszystkich zawodników, którzy aktualnie są zatrudnieni w klubach z Serie B, największą karierę zrobił Bartosz Bereszyński. To 57-krotny reprezentant Polski, aktualny kapitan ekipy z Genoi. Przez lata grał w Sampdorii na najwyższym szczeblu. Zasłużył nawet na transfer do Napoli, gdzie głównie był rezerwowym, ale zdobył mistrzostwo Włoch. W sumie w Serie A zagrał w 207 spotkaniach.

Podsumowanie

Gdy spojrzysz na tę listę nazwisk, można naprawdę dojrzeć, jak wielu Polaków w ostat-

nim decydowało się na dołączenie do zespołów z Włoch. Podkreślimy, że to tylko część wszystkich zawodników, którzy w ostatniej dekadzie grali we Włoszech. Jakie idą za tym wnioski? Do Włoch bardzo łatwo jest się dostać, ale zrobienie tam poważnej kariery, przedostanie się do zespołów z ligowej czołówki, jest bardzo trudne. W przeszłości udawało się to tylko nielicznym, wybitnym jednostkom. Gra w gorszych drużynach Serie A lub w zespołach z zaplecza wcale nie musi być przepustką do wielkiej kariery. W większości przypadków oznacza ona występy na co najwyżej przeciętnym europejskim poziomie. Dlatego pod znakiem zapytania należy postawić słuszność przeprowadzek wielu młodych polskich piłkarzy na Półwysp Apeniński. Wystarczy spojrzeć na historię polskich transferów do Włoch, żeby zrozumieć, że w większości przypadków po takim ruchu stoją w miejscu lub w najgorszym przypadku wracają do punktu wyjścia. Trzeba jednak się zastanowić, jakie jest inne wyjście. Gdzie Polacy radzą sobie najlepiej? I w tym momencie najlepiej będzie wrócić do wydania „Sportu” z 20 lutego bieżącego roku, w którym opisaliśmy, jak marginalną rolę polscy piłkarze odgrywają w europejskim futbolu. Okaże się wówczas, że nie radzimy sobie nigdzie. Smutne to, ale prawdziwe...

Kacper Janoszka

Polak numer 30

Karne musiały rozstrzygnąć, czy do ćwierćfinału awansuje Liverpool, czy PSG. Gol Jakuba Modera nie pomógł natomiast Feyenoordowi.



Jakub Moder skutecznie egzekwujący „jedenastkę” w meczu z Interem Mediolan.

LIGA MISTRZÓW

Sprowadzony do Rotterdamu pomocnik został 30. Polakiem w historii, który zdobył bramkę w Lidze Mistrzów (utworzonej w 1992 roku). W spotkaniu z Interem Mediolan najpierw został sfaułowany w polu karnym, a potem sam wymierzył sprawiedliwość. Był to nie tylko jego pierwszy gol w Feyenoord-

dzie, ale w ogóle pierwszy od ponad trzech lat! Z powodu kontuzji i braku gry w Brighton „Modziu” poprzednią bramkę zdobył w meczu Pucharu Anglii z West Bromem 8 stycznia 2022 roku. Holendrom na niewiele się to jednak zdało, bo Inter wygrał po raz drugi (tym razem 2:1) i awansował do ćwierćfinału.

Problemów z postawieniem pieczęci nie miał

Bayern Monachium, który po nieco usypiającej w swoim wykonaniu pierwszej połowie wszedł mocno w drugą. Za sprawą Harry'ego Kane'a wyszedł na prowadzenie z Bayerem Leverkusen, którego obrona zachowała się kuriozalnie, a potem wynik ustalił Alphonso Davies. Co ciekawe, Kane został pierwszym Anglikiem z co najmniej 10 trafieniami w jednej edycji Ligi Mi-

strzów lub Pucharu Europy. Bayern wygrał dwumecz 5:0, a 4:1 zwyciężyła Barcelona. Grając u siebie, zamknęła spotkanie z Benficą w pierwszej połowie, wygrywając 3:1. Robert Lewandowski tym razem gola nie strzelił, popis dał za to Raphinha, zdobywając dwie bramki i notując asystę.

Najgorętszym meczem wieczoru było jednak starcie na Anfield.

POLACY Z GOLEM W LIDZE MISTRZÓW

1992/93

Tomasz Dziubiński Club Brugge

1995/96

Krzysztof Warzycha Panathinaikos

Roman Kosecki Nantes

Marek Jóźwiak Legia

Ryszard Staniek Legia

Jerzy Podbrożny Legia

Leszek Pisz Legia

1996/97

Andrzej Lesiak Rapid Wiedeń

Marek Citko Widzew

Jacek Dembiński Widzew

Sławomir Majak Widzew

Ryszard Czerwiec Widzew

1998/99

Igor Sypniewski Panathinaikos

Andrzej Rudy Ajax

2001/02

Emanuel Olisadebe Panathinaikos

Tomasz Hajto Schalke

2004/05

Jacek Krzynówek Leverkusen

2008/09

Marek Saganowski Aalborg

2009/10

Michał Żewłakow APOEL

2011/12

Robert Lewandowski Dortmund

Jakub Błaszczykowski Dortmund

2014/15

Arkadiusz Milik Ajax

2016/17

Kamil Glik Monaco

Michał Kucharczyk Legia

2017/18

Piotr Zieliński Napoli

2019/20

Grzegorz Krychowiak Lokomotiw

Moskwa

2020/21

Łukasz Piszczek Dortmund

2023/24

Przemysław Frankowski Lens

2024/25

Łukasz Łakomy Young Boys

Jakub Moder Feyenoord

Liverpool szybko stracił cenną zaliczkę z Paryża, bo nie minął pierwszy kwadrans, a PSG prowadziło po голу Ousmane'a Dembele. Długo po tej bramce zaawansowane technologicznie programy wykazały, że trafienie nie powinno zostać uznane z powodu spalonego Bradleya Barcoli, lecz powiedzieć, że był to mikroskopijski ofsajd, to jak nic nie powiedzieć. Liverpool miał optyczną przewagę, choć PSG ciągle było groźne. Rozstrzygnięcia nie było, więc doszło do dogrywki, a potem do karnych. Tam lepsi 4:1 byli Francuzi.

Piotr Tubacki

■ Liverpool – PSG 0:1 (0:1, 0:1, 0:1).

W karnych 1:4. Pierwszy mecz 1:0.

Awans PSG

0:1 – Dembele (12)

LIVERPOOL: Alisson – Alexander-Arnold (73. Quansah), Konate (11).

■ Barcelona – Benfica 3:1 (3:1).

Pierwszy mecz 1:0. Awans Barcelona

1:0 – Raphinha (11), 1:1 – Otamendi (13),

2:1 – Yamal (27), 3:1 – Raphinha (42)

■ Inter Mediolan – Feyenoord

Rotterdam 2:1 (1:1). Pierwszy mecz

2:0. Awans Inter

1:0 – Thuram (8), 1:1 – Moder (42), 2:1

– Calhanoglu (51)

■ Bayer Leverkusen – Bayern Monachium 0:2 (0:0). Pierwszy mecz

0:3. Awans Bayern

0:1 – Kane (52), 0:2 – Davies (71)

Po kolejne trofea!

LIGA MISTRZÓW

W tym roku 1/8 finału Ligi Mistrzów jest trudniejsza niż w poprzednich latach – słusznie zauważył szkoleniowiec Realu Madryt, Carlo Ancelotti. Już na tak wczesnym etapie fazy pucharowej jego podopieczni mierzą się z Atletico, rywalem zza miedzy, który jest w bardzo dobrej dyspozycji w tym sezonie. Po pierwszej odsłonie tej rywalizacji na lepszej pozycji znajdują się „Królewscy”, którzy u siebie wygrali 2:1. Teraz wezmą udział w rewanżu na stadionie Metropolitano, gdzie większość publiki będzie wspierać „Los Colchoneros”, którzy marzą o pierwszym zwycięstwie w Champions League. Do tej pory tylko trzy razy dotarli do finału roz-

grywek, w 1974 (Puchar Mistrzów), 2014 i 2016 roku. Motywacja piłkarzy Diego Simeone będzie więc ogromna, ale reprezentanci Realu nie obawiają się dzisiejszej rywalizacji. – Cała drużyna jest gotowa na to spotkanie. Wiemy, że będzie to trudne starcie, szczególnie dlatego, że gramy na wyjeździe. Damy z siebie wszystko. Jesteśmy w dobrej dyspozycji i chcemy wygrywać kolejne tytuły – powiedział pomocnik „Los Blancos” Aurelien Tchouameni, który do tej pory zdobył z Realem osiem trofeów w różnych rozgrywkach.

Szukanie dziury w całym

Francuski pomocnik na początku roku zmierzył się z falą krytyki. Jego gra pozostawiała wiele do życze-

nia. Widać było, że nie jest w najlepszej formie, jednak w ciągu ostatniego miesiąca znacząco się poprawił. Co więcej, wielu hiszpańskich ekspertów uważa, że jest on jednym z najlepszych piłkarzy Realu w minionych tygodniach. Tchouameni tłumaczył, jak udało mu się wyjść na prostą. – Mamy niesamowitą drużynę i przez cały czas się wspieramy, niezależnie od tego, co dzieje się w trakcie sezonu. Skrytykowanym można być zawsze. Można być najlepszym zawodnikiem na świecie, a i tak znajdzie się ktoś, kto będzie doszukiwał się błędów i będzie szukał dziury w całym. Jako drużyna wiemy, jak radzić sobie z takimi sytuacjami – powiedział Tchouameni, który w zespole Carlo Ancelottiego nierzadko odgrywał

Piłkarze Realu mają świadomość skali trudności starcia z Atletico, ale mimo tego są pewni siebie.

dwie role. Grał nie tylko na swojej nominalnej pozycji środkowego pomocnika, ale także w defensywie, gdy Real zmagał się z problemami kadrowymi. Teraz, gdy w pełni sił są Antonio Ruediger oraz David Alaba, może spokojnie wrócić do środka pola.

Niesprawiedliwość?

To z kolei powoduje ból głowy u włoskiego szkoleniowca „Królewskich”. Kogo powinien wystawić obok Tchouameni? Liczba miejsc jest przecież ograniczona, bo obok niego grać mogą Luka Modrić, Eduardo Camavinga czy Federico Valverde (jeśli nie będzie grał na prawej obronie). Ktoś z nich – zakładając, że zagra Tchouameni, a pewne miejsce w składzie ma Jude Bellingham – będzie musiał po-

godzić się z rolą rezerwowego. Hiszpańscy dziennikarze słusznie zauważyli, że w ostatnim meczu ligowym przeciwko Rayo (2:1) bardzo dobrze spisywał się Modrić i zapytali Carlo Ancelottiego wprost, czy brak miejsca dla Chorwata w pierwszym składzie będzie dla niego niesprawiedliwy? – Mam więcej niż 11 piłkarzy, którzy mogą zagrać w tym meczu. Nawet jeśli ktoś znajdzie się na ławce, ma wnieść jakoś po wejściu na boisko – przekazał dyplomatycznie doświadczony Włoch. Pewne jest, że Ancelotti nie będzie narzekał na niedobór zawodników do wyboru.

Bez Francuza?

Z większymi problemami kadrowymi może borykać się Diego Simeone. Możliwe, że argen-

tyński szkoleniowiec nie będzie mógł skorzystać z usług Clementa Lenglet. Środkowy obrońca, który w tym sezonie jest bardzo ważną częścią madryckiej defensywy, w poprzedni weekend nie mógł zagrać z Getafe w lidze. Wyszedł na rozgrzewkę, ale poczuł ból i przesiedział cały mecz na ławce. Na razie nie wiadomo, czy będzie w stanie zagrać w rewanżu z „Królewskimi”, choć walczył o powrót do pełni sprawności nawet w środę po południu.

Kacper Janoszka

1/8 FINAŁU LIGI MISTRZÓW

Środa, 12 marca

18.45: Lille – Borussia Dortmund (w pierwszym meczu 1:1)

21.00: Aston Villa – Club Brugge (3:1), Arsenal – PSV (7:1), Atletico – Real (1:2)

Walka o władzę

Szykuje się ciekawa rywalizacja w wyborach na prezesa Małopolskiego Związku Piłki Nożnej.

Wiele wskazuje na to, że w małopolskiej piłce dojdzie do dużej zmiany, także pokoleniowej. Z naszych informacji wynika, że o stanowisko prezesa MZPN-u będą walczyć – w zasadzie już to robią – cztery osoby. Jutro swój start ogłosi Adam Kokoszka, były reprezentant Polski oraz zawodnik m.in. Wisły Kraków i Śląska Wrocław.

Chce utrzymać władzę

Wybory odbędą się 26 kwietnia. Prawo głosu będzie miało 114 delegatów, którzy mają zostać wybrani m.in. w podokręgach do 22 marca. 68 delegatów będzie reprezentowało podokręgi, 19 – strefę Kraków (w 2024 roku MZPN zlikwidował podokręgi), 14 – kluby od ekstraklasy do III ligi, a 13 – MZPN. Większość zebrań w „terenach” dopiero się odbędzie.

O drugą kadencję będzie się ubiegał Ryszard Kołtun (72 lata), który w 2021 uzyskał 136 ze 146 głosów. Po 27 latach zastąpił Ryszarda Niemca, którego był „prawą ręką”. Ten w przeszłości dziennikarz sportowy

i redaktor naczelny dwóch gazet był jedynym kandydatem, choć w szranki z nim chcieli stanąć Andrzej Sękowski i przede wszystkim były piłkarz Łukasz Sosin. Reprezentant Polski ostatecznie nie złożył deklaracji z poparciem 30 delegatów. Wcześniej krytykował ordynację wyborczą, wskazując, że jest niezgodna z prawem, ponieważ delegaci muszą ujawnić, kogo popierają.

Faworyt prezydenta?

Dotąd najpoważniejszym konkurentem obecnej władzy wydawał się radca prawny Bartosz Ryt (33 lata). W maju ubiegłego roku został jednak odwołany z funkcji wiceprezesa MZPN-u ds. prawnych i prezydium. Wtedy też rozwiązano podokręg Kraków, a kierującego nim Kazimierza Śliwińskiego, stronnika Ryty, także usunięto z prezydium zarządu. Śliwiński stał za zwyciężskim projektem krakowskiego budżetu obywatelskiego „Piłkarskie Mistrzostwa Krakowa dzieci”. Powołał fundację „Piłkarski Kraków”, która złożyła projekt i zmobilizowała środowisko, a Ryt mocno go w tym wspierał. W środowisku



mówiło się, że ich odwołanie było zemstą za działanie poza MZPN-em. Prezes Kołtun w obszernej odpowiedzi podkreślił, że Śliwiński został odwołany, bo wykrył prywatną fundację. Tłumaczył, że „sprzeniewierzył się zasadom etyki i za taką postawę nie ma miejsca w Małopolskim Związku Piłki Nożnej. I nie ma na to mojej zgody jako prezesa tej organizacji”. Osoby z otoczenia Ryty przekonują, że jest już pewien 30-35 głosów, a pod koniec tygodnia, gdy odbędą się kolejne zebrania, może „domknąć temat”. Dużo pracy wykonuje dla niego Piotr Szefer, który odpowiadał za skuteczną kampanię Cezarego Kuleszy w wyborach na prezesa PZPN-u. Można też usłyszeć, że jest faworytem prezydenta Krakowa Aleksandra Miszalskiego.



Ryszard Kołtun rządzi MZPN-em od 2021 roku. Wcześniej był „prawą ręką” Ryszarda Niemca.

Z poparciem Nawalki

Dość nieoczekiwanie do gry wchodzi jeszcze jeden poważny kandydat. To Adam Kokoszka (39 lat), 11-krotny reprezentant Polski, były obrońca Wisły, Śląska i włoskiego Empoli. Swój start oficjalnie ogłosił w czwartek o 11.00 w jednym z krakowskich hoteli. Za nim stoi Marek Koźmiński, były wiceprezes PZPN-u za czasów Zbigniewa Bońka i rywal Kuleszy. Ostatnio skupiał się na swoich biznesach, ale odzyskał apetyt na działanie w polskim futbolu. Kokoszka, podobnie jak Koźmiński, po zakończeniu kariery zamienił piłkarski strój na garnitur. Był prezesem klubu siatkarskiego z Tarnowa, ma za sobą także pracę w firmie Texom (obecnie m.in. główny sponsor Wisły Kraków) jako pełnomocnik ds. spon-

soringu. Ostatnio skupiał się przede wszystkim na swojej akademii Forza.

Docierały do nas głosy, że Kokoszkę oficjalnie poprze Adam Nawalka. To się potwierdziło, rzadko zabierający publicznie głos były selekcjoner powiedział o nim kilka ciepłych słów. – Uważam tę kandydaturę za bardzo właściwą. Znam Adama bardzo długo, jeszcze z okresu gry w Wiśle Kraków. Następnie współpracowaliśmy, kiedy byłem asystentem Leo Beenhakera w reprezentacji Polski, powoływałem go też w pierwszym okresie mojej pracy jako selekcjonera. Dla mnie jest niezwykle barwną postacią, bardzo interesującym człowiekiem. Zna języki obce, jest świetnym organizatorem, ma doświadczenie w biznesie, zarządzaniu, pracy zespołowej. Przede

wszystkim zaś zna piłkę od podszewki. Podoba mi się, że młodzi ludzie, tacy jak Adam, są dynamiczni, chcą coś osiągnąć i ubiegają się o tego typu funkcje – chwalił Nawalka.

Jeszcze jeden kandydat

Małopolskim ZPN chciałby też kierować Paweł Palusiński (41 lat), były obrońca młodzieżowych drużyn Wisły, asystent w rezerwach prowadzonych przez Tomasza Kulawika czy kierownik drużyny Młodej Ekstraklasy. Pracował w wielu miejscach, m.in. jako dyrektor akademii Hutnika czy sekretarz Wydziału Szkolenia MZPN-u. – Kilka osób ze środowiska namawiało mnie na start i nie będę ukrywał, że coś jest na rzeczy – potwierdził nam Palusiński.

Michał Knura

Snajperzy z drugiego szeregu

Wśród najlepszych ligowych strzelców brakuje polskich napastników. Gdzie ich szukać? Poza granicami naszego kraju.

Wklasyfikacji najlepszych strzelców próżno szukać Polaków. Tak jest nie tylko w ekstraklasie, ale – o zgrozo! – także w I lidze, gdzie przewodzi Hiszpan Angel Rodado. W ekstraklasie najsukcesowniej Polak to Bartosz Kapustka z dziewięcioma bramkami. Najsukcesowniejsza nominalna „9” to Sebastian Bergier z GieKSy, który dotąd strzelił siedem goli.

Lepszy niż Wouters

W ligach zagranicznych Polacy są natomiast wyjątkowo skuteczni. Najlepszym strzelcom w La Liga przewodzi przecież Robert Lewandowski. W 26 występach napastnik Barcelony zdobył 21 bramek. Goni go Kylian Mbappe (18 goli). Reszta jest już daleko z tyłu, bo trzeci Ante Budimir ma 14 trafień. Kapitan reprezentacji Polski był już królem strzelców w Hiszpanii w sezonie 2022/23 z 23 golami. Oby powtórzył to osiągnięcie!

Turecka Super Liga? W niej na kilkanaście kolejek przed końcem przewodzi Krzysztof Piątek. Napastnik Istanbul Basaksehir ma 18 bramek, a goni go sława światowej piłki, Victor Osimhen z Galatasaray z 17 golami. Z tyłu są kolejni znakomici napastnicy, Youssef En-Nesyry i Simon Banza – po 16 bramek. „Piona” nie był jeszcze królem strzelców, choć w wielu ligach sporo goli nastrzelał. Teraz jest na to szansa.

Są też jednak inni polscy napastnicy, którzy świetnie sobie radzą. Jedną z rewelacji holenderskiej Eredivisie jest Oskar Zawada. W przedostatnim zespole tabeli RKC Waalwijk jest kapitanem, najlepszym zawodnikiem i strzelcem. Zdobył w tym sezonie dziewięć bramek. Dwie ostatnie w wygranym 5:0 meczu z beniaminkiem NAC Breda, gdzie jest polska kolonia: bramkarz Daniel Bielica, napastnik Kacper Kostorz i drugi trener Tomasz Kaczmarek.

Zawada byłego golkipera Górnika Zabrze najpierw pokonał głową, a następnie prawą nogą. Pochodzący z Olsztyna wysoki napastnik, który grał w wielu ligowych klubach na kilku kontynentach, bo i w Azji, i w Australii, pod względem liczby zdobytych goli wyprzedza m.in. taką sławę jak Wout Wouters. Czy jego gole pomogą utrzymać się Waalwijk w elicie? To pokażą najbliższe mecze, ale łatwo nie będzie.

Rozstrzelał się na antypodach

Przenieśmy się na inny kontynent. W Śląsku Wrocław Patryk Klimala został przez byłego szkoleniowca Jacka Magierę odsunięty na boczny tor. Nie było dla niego miejsca w ekipie z Dolnego Śląska, za to odnalazł się w dalekiej Australii. 26-latek, który z Jagiellonii Białystok trafił do Celtiku Glasgow, potem do New York Red Bulls, żeby grać jeszcze w izraelskim Hapoelu Beer Sze-



Oskar Zawada z bardzo dobrej strony pokazuje się w Eredivisie.

wa, we wrześniu został wypożyczony do Sydney FC z opcją pierwokupu przez australijski klub i... strzela aż miło! Ma osiem bramek i tylko trzech napastników jest od niego lepszych. To Australijczyk Noah Botić i Japończyk Hiroshi Ibusuki z Western United (10 bramek) oraz

partner z linii ataku zespołu z Sydney, Anglik Joe Lolley (dziewięć goli). Klimala jest też skuteczny w rozgrywkach Azjatyckiej Ligi Mistrzów 2 (odpowiednik Ligi Europy). Kilka dni temu w spotkaniu 1/4 finału z południowokoreańskim Jeonbuk Hyundai Motors zdobył dwa gole.

W tych rozgrywkach ma już pięć trafień i też plasuje się w ścisłej czołówce. Bilans może poprawić już w czwartek w rewanżowym meczu w Sydney. Jeśli klub Klimali awansuje, to w półfinale zagra najprawdopodobniej z Lion City Sailors z Singapuru.

20-latek z Zielonej Wypsy

I jeszcze drugi poziom rozgrywkowy w Irlandii Północnej, na którym występuje Igor Rutkowski. To 20-latek urodzony właśnie na Zielonej Wypsie, w małej miejscowości Keady, tuż przy granicy z Irlandią. Rok temu w lutym został zawodnikiem Armagh City FC, wywalczył z nim awans na drugi poziom rozgrywkowy, a teraz należy do najlepszych strzelców Northern Ireland Football League 2 z 15 bramkami. Być może o tym młodym napastniku wkrótce usłyszymy więcej przy okazji transferu do silniejszego klubu i ligi.

Michał Zichlarz

Chcą postawić kolejny krok

Biało-czerwoni już mogą łapać za klamkę drzwi z napisem Euro 2026, ale żeby za nią pociągnąć, dziś w Lubinie muszą pokonać Mołdawię.

W piątkowym, wyjazdowym meczu z Mołdawią (3:1) Polacy pokazali jakość, ale głównie w drugiej połowie, bo na początku mieli słabsze momenty. Skończyło się jednak tylko na chwilowym strachu, bo drużyna trenera Błażeja Korczyńskiego pewnie wygrała trzecie spotkanie eliminacji Euro 2026. Dziś o 18.00 w Lubinie w hali RCS, kojarzonej głównie z piłką ręczną, zostanie rozegrany rewanż.

Powrót Leszczaka

W pierwszym spotkaniu Biało-czerwoni musieli sobie radzić nie tylko z rolą faworyta, ale przede wszystkim z rywalem, który szukał szans w kontrach, a głównie chciał przeszkadzać. – Takie mecze są trudne. Wiemy, że musimy wygrywać, ale Mołdawia to zespół mający kilku ciekawych zawodników – podkreślają reprezentanci Polski, którzy w pierwszych 20 minutach nie potrafili sforsować muru defensywnego przeciwników, sprawiających lepsze wrażenie. Polacy mają jednak indywidualności, które potrafią zrobić różnicę. Po

raz kolejny udowodnił to Mikołaj Zastawnik (cztery bramki w trzech meczach eliminacji), wspierany głównie przez Sebastiana Leszczaka. Gracz BSF Bochnia wrócił do gry w reprezentacji w styczniu po długim leczeniu kontuzji kolana. W meczu ze Słowacją pokazał się z dobrej strony, ale dopiero z Mołdawią trafił do siatki i to dwukrotnie. – Czekaliśmy na moment, kiedy będę mógł wrócić do gry. To nie był dla mnie łatwy czas, ale teraz już jest wszystko w porządku, a forma wciąż rośnie – przekonuje zawodnik, który z ostatniego gola w kadrze cieszył się w połowie 2023 roku. Wygrana Biało-czerwonych to nie tylko suma indywidualnych popisów. W trzecim kolejnym meczu Polacy zdobyli bramkę po stałym fragmencie gry, konkretnie po rzucie rożnym. – Pracujemy nad tym cały czas. Widać coraz lepsze efekty, ale chcemy mieć jeszcze większą skuteczność. Na pewno jest nad czym cały czas ćwiczyć – uważa Tomasz Kriezela, asystujący przy bramce Zastawnika.

Stabilnie i solidnie

Polacy zanotowali trzecie zwycięstwo w eliminacjach



Dzisiaj Mikołaj Zastawnik ma zamiar potwierdzić wysoką dyspozycję. Jego koledzy również.

12
RAZY
grali Polacy
z Mołdawianami,
wygrywając dzie-
więć razy, dwukrot-
nie remisując i raz
przegrywając.

i są jedną z siedmiu reprezentacji z kompletem punktów. Dodatkowo mogą się cieszyć ze skuteczności w defensywie. Co prawda Michał Kałuża nie zagrał jeszcze żadnego spotkania na zero z tyłu, ale tylko trzy stracone bramki, jedna w każdym meczu, to dowód solidności i jakości.

O tym, jak Biało-czerwoni potrafią być pewni i stabilni, pokazują dane z ostatnich miesięcy. Patrząc na ostatni rok, przegrali tylko jedno spotkanie, z Chorwacją u siebie, w kwietniu 2024 roku, a w ciągu trzech ostatnich lat – w meczach z reprezentacjami europejskimi – uległa jedynie Czechom (spotkanie towarzyskie i mecz o punkty), Chorwacji (baraż o MŚ),

Ukrainie, Serbii i Azerbejdżanowi (eliminacje MŚ). To cała lista od Euro 2022. Wcześniej od 2019 Polacy przegrali tylko dwa spotkania, w tym jedno w eliminacjach do wspomnianego turnieju, z Portugalią na własnym terenie.

Słowacy gonią

Ostatnia wygrana sprawiła, że Polacy prowadzą w grupie i są coraz bliżej awansu. Kroku naszej reprezentacji stara się dotrzymać Słowacja, która po drugoścnej (1:6) porażce w Gorzowie Wielkopolskim tym razem zainkasowała trzy punkty kosztem Turcji (7:2). Przez długie minuty faworyci przegrywali, ale końcówka spotkania należała do Toma-

sza Drahovskiego i spółki. Największa gwiazda reprezentacji Słowacji zdobyła cztery bramki. Polska po trzech spotkaniach ma komplet punktów, Słowacja traci trzy „oczka”. Dla naszych południowych sąsiadów optymalnym scenariuszem będzie doprowadzenie do rewanżowego meczu z Polską, gdy dystans pomiędzy drużynami nadal będzie wynosił trzy punkty i wówczas... wszystko będzie jeszcze możliwe. Teraz Słowaków czekają jednak dwa trudne wyjazdowe mecze, z Turcją i Mołdawią. Każdy punkt w ostatecznym rozrachunku może mieć niebagatelne znaczenie, bo nie wszyscy wicemistrzowie grup zagrają

GRUPA 3

1. Polska	3	9	13:3
2. Słowacja	3	6	11:10
3. Mołdawia	3	3	7:9
4. Turcja	3	0	6:16

Dziś grają: Turcja – Słowacja (14.00), Polska – Mołdawia (18.00).

w barażach o udział w mistrzostwach Europy.

Jankowski za Kriezela

Reprezentanci Polski planują postawić kolejny krok na litewsko-łotewski turniej, ale dzisiejszy mecz (będzie go można zobaczyć w TVP Sport) wcale nie musi być łatwy. Trzeba liczyć się z tym, że rywal jeszcze mocniej skupi się na defensywie, co zmusi Biało-czerwonych do gry w ataku pozycyjnym, co nigdy nie było i w dalszym ciągu nie jest ich mocną stroną. – Takie mecze bardzo często rozgrywa się do pierwszej bramki. Jeżeli szybko ją zdobędziesz, to masz problem z głowy. Jeżeli jednak czas ucieka, to zaczynają się problemy i rywal, który nie miał mieć żadnych szans, nagle rośnie w twoich oczach – prognozuje były reprezentant Polski, Robert Dąbrowski.

Trzeba podkreślić, że Polacy będą musieli sobie radzić bez Tomasza Kriezela. Kapitan narodowego zespołu w piątkowym spotkaniu ujrzał bowiem drugą żółtą kartkę, która eliminuje go z występu. W jego miejsce trener Korczyński powołał Macieja Jankowskiego. Zawodnik We-Metu Kamienica Królewska jest trzecim najlepszym strzelcem Fogo Futsal Ekstraklasy (16 goli). W koszulce z orzełkiem zagrał 10 razy, ale do siatki jeszcze nie trafił.

(mh)

Musieli sobie wyjaśnić

Po meczu w Puławach trener Hutnika Kraków nieprzypadkowo wrócił do swojej wypowiedzi sprzed tygodnia.

HUTNIK KRAKÓW

Za piłkarzami Macieja Musiała piłkarski rollercoaster w Puławach (0:0). Z jednej strony mogą żałować, że wrócili tylko z punktem, bo mieli sporo okazji na gole. Z drugiej – w końcówce rywale mieli rzut karny, więc mogli przegrać, ale Kamil Kumoch strzelił w słupkę. – Mieliliśmy sporo sytuacji wypracowanych w różnej formie i wydawało się, że wyciśniemy zwycięstwo, bo przez większość meczu graliśmy tak, jak chciałem. Sztuką było nie zdobyć bramki ze stworzonych sytuacji i my tej sztuki dokonaliśmy, dlatego wracamy



Zespół Macieja Musiała zaczął rok od czterech punktów w meczach ze Skrą Częstochowa i Wisłą Puławy.

tylko z punktem. Mogło to być okrutnie zemścić w końcówce. Zapracowaliśmy na

więcej, niż stąd wywozimy – powiedział trener „Dumy Nowej Huty”.

Krakowianie długo nie wiedzieli, czy w ogóle pojedą do Puław. Do środy musieli wpłacić całą kwotę za hotel, ale odwołali rezerwację, bo rywale nie mieli przywróconej licencji. O jej przywróceniu dowiedzieli się w piątek, ciut wcześniej przed komunikatem PZPN-u. Ostatecznie skorzystali z usług tego samego hotelu, co wcześniej planowali, bo nadal miał wolne miejsca.

Wrócił do swoich słów

Co ciekawe, po spotkaniu z Wisłą trener Musiał najpierw nawiązał do swojej wypowiedzi po zwycięstwie ze Skrą Częstochowa (3:1). Stwierdził wtedy

między innymi, że drużyna nie ma bardzo ambitnych celów sportowych, a bardziej szkoleniowe, stąd daje szansę wielu młodym zawodnikom. Miejsce w strefie barażowej określił „zasługą wyników z jesieni, które były ponad stan” i wskazał na wąską kadrę oraz kontuzje, dlatego według niego priorytetem drużyny ma być spokojnie utrzymanie. Jak ustaliliśmy, w tygodniu został zaproszony na spotkanie, by z władzami klubu raz jeszcze wyjaśnić sobie pewne kwestie i określić cele. Władze Hutnika uważają, że w tym składzie można powalczyć o Betclit 1. Ligę.

– Gra o baraże to cel bardzo kuszący, natomiast musimy sobie zdawać sprawę, że drużyna jest regularnie odmładzana i mamy kilka długoterminowych kontuzji, co sprawia, że przede wszystkim musimy myśleć o zajęciu bezpiecznej lokaty. Jeśli jednak nadal będziemy punktować na tyle skutecznie, jak do tej pory, to zrobimy wszystko, by powalczyć o baraże. Każdy chce pracować i grać jak najwyżej, ale temu młodemu zespołowi nadmierna presja nie jest szczególnie potrzebna – zaznaczył szkoleniowiec Hutnika.

Michał Knura



Magdalena Drażyk i jej koleżanki z Kobierzyc rozpoczną dziś pogoń za liderem z Lubina.

Decydująca rozgrywka

Po dwóch rundach sezonu zasadniczego rozpoczyna się rywalizacja o medale i pozostanie w elicie. Pierwszy mecz już dziś w Kobierzycach.

ORLEN SUPERLIGA KOBIEC

Toczący się od 1 września sezon zasadniczy podzielił tabelę na grupę mistrzowską i spadkową. W tej pierwszej znalazły się m.in. KGHM Zagłębie Lubin, MKS FunFloor Lublin oraz KPR Gminy Kobierzyc i to właśnie między tą trójką rozstrzygnie się batalia o podium. Na najlepszej drodze do złotego medalu są broniące tytułu „Miedziowe”. – Mamy sześć punktów przewagi, ale i świadomość, że czekają nas bardzo trudne spotkania. Każdy chce pokonać mistrza, a nam przychodzi dochodzić do siebie nie tyle po 18 seriach, co dwumiesięcznym maratonie w Lidze Europejskiej. Wyjść z grupy się nie udało, więc pozostała walka o złoto w kraju. Mam nadzieję, że przystąpimy do niej w optymalnym składzie – powiedziała trenerka Zagłębia, Bożena Karkut. Jej zespół batalię o mistrzostwo rozpocznie w sobotę od meczu w Gnieźnie, a już dziś w pogoń za liderem planują się rzucić „Kobierki”, które o 20.30 podejmą Piotrców (transmisja w Polsacie Sport 3). Spotkanie to będzie rewanżem za ostatnie starty sezonu zasadniczego z 1 marca, zakończone dość niespodziewaną porażką

4936

BRAMEK padło w 90 meczach sezonu zasadniczego, co dało średnią 54,84.

(22:25) ekipy z Dolnego Śląska, choć z drugiej strony dla rozkręcającej się z koleжки na kolejkę drużyny z Piotrkowa Trybunalskiego było to szóste zwycięstwo z rzędu... Chcąc myśleć o utrzymaniu kontaktu z „Miedziowymi”, zespół trenera Marcina Palicy na kolejną wpadkę nie może sobie pozwolić. Walka o mistrzostwo dopiero się rozkręca, ale w Kobierzycach już myślą o kolejnym sezonie. Wczoraj działacze pochwalili się przedłużeniem umowy ze skrzydłową Mariolą Wiertelak, a wcześniej uczyniły to: obrotowa Zuzanna Ważna, rozgrywająca Aleksandra Kucharska i Magdalena Drażyk, a także skrzydłowa Patrycja Koziół. Wiadomo też, że od lipca zawodniczką KPR-u będzie Zuzanna Zimnicka, rozgrywająca Pogoni Szczecin, wiceliderka klasyfikacji strzelczyń (98 bramek w 16 meczach) Ligi Centralnej.

Równie emocjonująco zapowiada się walka o utrzymanie, w którą „zamieszane” są dwa zespoły z Górnego Śląska. W lepszym położeniu jest Ruch Chorzów, który dzięki dwóm zwycięstwom na koniec sezonu zasadniczego umocnił się na siódmej pozycji, ale nie zamierza spoczywać na laurach. W sobotę podejmie Szczepiornę Kalisz i będzie to kluczowe spotkanie dla „Niebieskich”.

Marek Hajkowski

1. Zagłębie	18	51	551:361
2. Lublin	18	45	550:433
3. Kobierzyc	18	45	535:457
4. Start	18	30	500:532
5. Piotrcovia	18	29	496:477
6. Gniezno	18	26	528:514
7. Ruch	18	17	471:528
8. Sośnica	18	13	419:503
9. Koszalin	18	8	431:550
10. Kalisz	18	6	455:581

CZY WIESZ, ŻE...

■ W obu grupach zespoły zachowują punkty zdobyte w sezonie zasadniczym, by ponownie zmierzyć się systemie mecz i rewanż. Medaliści wyłonieni zostaną 24 maja, a spadkowicz znany będzie najpóźniej 26 kwietnia. Drugą z dziewięćmięscą czekać będą baraże z wice mistrzem Ligi Centralnej.

■ Liderką klasyfikacji strzelczyń jest Aleksandra Zych ze Startu Elbląg (110 bramek), która wyprzedza Magdalenę Drażyk z KPR-u Kobierzyc (101) i Malwinę Hartman z MKS-u Gniezno (92).

Młodzież na wagę złota

Rozmowa ze Sławomirem Szmalem, prezesem Związku Piłki Ręcznej w Polsce



Zmiany w systemie szkolenia młodzieży były jednym z głównych postulatów kampanii wyborczej. Na jakim etapie teraz się znajduje realizacja tego zadania?

– Przede wszystkim mamy ciekawy i gotowy pomysł na przeprowadzenie reform, który musimy jeszcze doszlifować w wyniku szeroko zakrojonych konsultacji. Przeprowadziliśmy ważne rozmowy ze wszystkimi zainteresowanymi stronami – sponsorami, klubami czy trenerami. Jesteśmy również w kontakcie z Ministerstwem Sportu i Turystyki. Wierzę, że tak szeroka współpraca ze wszystkimi uczestnikami procesu szkoleniowego i sportowego pozwoli nam na ostateczne wypracowanie najlepszych rozwiązań. Przygotowania do wdrażania niektórych z nich – jak wspomniane zmiany w systemie funkcjonowania Szkół Mistrzostwa Sportowego – musimy jednak rozpocząć już teraz.

W przestrzeni medialnej pojawiły się informacje, że SMS-y zostaną zlikwidowane. Przynajmniej niektóre...

– To prawda, że program reform dotknie również Szkoły Mistrzostwa Sportowego, jednak nigdy nie planowaliśmy ich całkowitej likwidacji. Naszym celem jest optymalizacja ich działania, dlatego niektóre z nich zostaną „wygaszone”. To była trudna decyzja, lecz w mojej ocenie konieczna ze względów sportowych, ale i finansowych. Argumentem za podjęciem decyzji o „wygaszeniu” było także wsłuchanie się w głos środowiska, z którym współpracujemy przy tworzeniu programu reform. Dotychczasowe uczestnictwo bardzo dużej liczby młodych zawodników w strukturach SMS-ów torpedowało lokalną rywalizację klubową, ponieważ uniemożliwiała klubom wystartowanie w rozgrywkach. Ta zmiana wpisuje się więc w ideę zwiększenia roli klubów w procesie szkolenia.

Jak zatem będzie wyglądać przyszłość SMS-ów?

– Oczywiście, wiąże się to z pewnymi zmianami i oznacza, że w przyszłym



Młodzież i jej szkolenie to „oczko w głowie” prezesa Sławomira Szmała.

roku nie będzie już naboru do pierwszych klas niektórych ze szkół, jednak każdy uczeń będzie mógł dokończyć swój proces kształcenia zgodnie z pierwotnym planem. Zmiany mają na celu lepsze wykorzystanie środków, którymi dysponuje ZPRP, co pozwoli nam zainwestować w jeszcze lepsze przygotowanie kadr narodowych. Celem jest stworzenie dwóch silnych SMS-ów, które staną się fundamentem przyszłych reprezentacji i będą odpowiadały za najwyższy standard szkolenia. Zależy nam, aby te placówki stały się ośrodkami elitarnymi, szkolącymi na najwyższym możliwym poziomie w Europie. W tym przypadku wzorujemy się na siatkówce, która – choć ma zdecydowanie większą bazę młodych zawodników – stawia na mniejszą liczbę szkół, co przynosi znakomite efekty.

Niestety, na razie piłka ręczna przegrywa ze wspomnianą siatkówką, nie mówiąc już o piłce nożnej...

– Martwi spadek liczby dzieci uprawiających dyscyplinę. Dlatego z jednej strony musimy z całych sił popularyzować piłkę ręczną wśród najmłodszych, aby jak najwięcej z nich usłyszało o naszym pięknym sporcie i spróbowało w nim

sił, a jednocześnie stworzyć takie warunki szkoleniowe, aby każde dziecko, które trafi do świata piłki ręcznej, zostało otoczone najlepszą możliwą opieką i miało przed sobą najlepszą drogę do rozwoju i rozpoczęcia kariery. Nie stać nas, aby marnować talenty, ponieważ w obecnej sytuacji każdy młody zawodnik jest dla nas na wagę złota.

Co jeszcze obejmą planowane reformy?

– Będą to kompleksowe zmiany, które dotkną każdego obszaru systemu szkolenia. Chcemy zmienić cały system – od najmłodszych kategorii wiekowych po najstarszych zawodników. Uwzględniamy także proces szkolenia trenerów, ponieważ to oni są kluczowym ogniwem w rozwoju młodych piłkarzy ręcznych, a w dalszej kolejności planujemy reformę systemu rozgrywek młodzieżowych. Wszystko po to, aby stworzyć spójny i efektywny system. Wprowadzenie skutecznych reform wymaga dokładnej analizy, rozmów z ekspertami i konsultacji ze wszystkimi zainteresowanymi stronami. Zależało mi, aby pomysły były dobrze przemyślane i oparte na realnych potrzebach, a nie na pochopnych decyzjach. W tym

przypadku naprawdę nie chodzi tylko o to, by działać jak najszybciej, ale działać możliwie jak najskuteczniej. Musimy mieć świadomość, że wprowadzone zmiany będą miały swoje konsekwencje przez wiele najbliższych lat.

Kiedy będziemy mogli zobaczyć pierwsze rezultaty wprowadzanych reform?

– Trzeba sobie jasno powiedzieć, że jesteśmy dopiero na początku drogi. Wprowadzenie zmian to pierwszy element długotrwałego procesu, więc efekty nie przyjdą jak za dotknięciem magicznej różdżki. Jestem przekonany, że w dłuższej perspektywie sytuację polskiej piłki ręcznej. Kluczowe będzie, jak szybko uda nam się zintegrować zmiany na poziomie klubów, trenerów i szkolenia centralnego. W dłuższej perspektywie liczę, że nasze drużyny narodowe będą regularnie rywalizować o najwyższe lokaty na międzynarodowych arenach, a cała piłka ręczna w Polsce stanie się bardziej widoczna i konkurencyjna. Reforma systemu szkolenia młodzieży to kluczowy element mojej prezesury, który będę kontynuował w kolejnych latach.

Zbigniew Ciećciała, ZPRP

Epizody Balcerowskiego

Polski środkowy gra niewiele w czołowej drużynie hiszpańskiej ekstraklasy.

POLACY ZA GRANICĄ

Kolejny mało znaczący występ Aleksandra Balcerowskiego w lidze hiszpańskiej. Unicaja Malaga pewnie wygrała u siebie z Coviran Granada (95:78), ale nasz środkowy grał mało (niespełna 13 minut), rzucił też niewiele (ledwie 2 punkty). Balcerowski nie miał żadnej zbiórki, zaliczył jedną asystę. Trafił 1 z 2 rzutów z gry (0/1 za trzy). Polak nadal jest tylko rezerwowym i gra zwykle epizody. Malaga jest wiceliderem, wyprzedza ją tylko Real Madryt, który ma jedno zwycięstwo więcej.

Nieudany mecz zaliczyło Surne Bilbao, które w Walencji przegrało z Valencia Basket (70:89). Tomasz Gielo był na boisku 20 minut, zdobył 6 punktów, trafił 2 z 6 rzutów z gry, w tym 2/4 za trzy. Miał też 3 zbiórki. Ekipa z Bilbao zajmuje 13. miejsce w tabeli, w 22 meczach wygrało tylko 8 razy.

W Espai Fruita Barris Nord w Lleidzie w Katalonii przegrali koszykarze Casademont Saragossa (91:97). Mecz był zacięty, choć gospodarze wysoko wygrali drugą kwartę (33:24), a potem jeszcze prowadzenie podwyższyli w kolejnej części. AJ Slaughter zaczął tym razem na ławce rezerwowych, w 19 minut zdobył 12 punktów, miał też 2 asysty. Amerykański gracz naszej reprezentacji trafił 4 trójki (na 9 prób). Gorzej było w rzu-



Przemysław Frasunkiewicz ma ostatnio kiepską passę w Bundeslidze. Jego Rostock Seawolves znowu przegrali.

tach z półdystansu (0/3 za dwa). Casademont spadł na 11. miejsce w tabeli (bilans: 10-12).

W Fernando Buesa Arena w Vitoria-Gasteiz grał Dreamland Gran Canaria. Wyspiarze minimalnie przegrali z Baskonią (80:84). W zespole z Wysp Kanaryjskich ponownie nie było w składzie Jakuba Urbaniaka. Młody polski skrzydłowy, który niedawno znalazł się w szerokim składzie kadry Igora Milicića, w tym sezonie pojawił się w trzech spotkaniach Dreamland, w sumie było to tylko... 110 sekund. Ma na koncie zbiórkę i asystę.

■ We francuskiej Betclic Elite w Strasbourgu przegrało Saint Quentin (69:83). Dominik Olejniczak grał w pierwszej piątce, był na boisku 22 minuty. Polski środkowy zdobył 7 punktów, miał 7 zbiórek, 1 asystę. Trafił 2 z 6 rzutów z gry, na linii osobistych wykorzystał 3 z 4 rzutów. Polak notuje solidny sezon na francuskich parkietach. Saint Quentin jest na 7. miejscu w tabeli ze sporymi szansami na udział w play off.

■ Zupełnie inne marzenia mają w La Rochelle. Drużyna Jakuba Nizioła toczy dramatyczną wal-

kę o utrzymanie i szansę na sukces ma raczej niewielkie. W ostatniej kolejce La Rochelle przegrało u siebie z Chalon sur Saone (77:86). Nizioł w 16 minut zdobył 6 punktów, miał zbiórkę i 2 asysty. Trafił 1 z 4 rzutów z gry, 1 z 2 osobistych. Jego drużyna zajmuje ostatnie miejsce w tabeli, ma już 3 punkty straty do kolejnego rywala.

■ W lidze tureckiej Semt 77 Yalovaspor przegrał z Bahcesehir Koleji 88:89. Mateusz Ponitka po kontuzji pojawił się jako rezerwowym. Kapitan naszej

reprezentacji w 16 minut zdobył 2 punkty (0/3 z gry, 2/2 z linii osobistych). Miał 3 zbiórki i 4 asysty. Bahcesehir zajmuje 6. miejsce w tabeli Basketbol Super Ligi, na 20 spotkań zanotował 11 zwycięstw. Liderem jest Fenerbahce.

■ We włoskiej Serie A1 Banco di Sardegna Sassari przegrało we własnej hali z Umana Reyer Venezia 96:97. Goście decydujące o sukcesie punkty zdobyli 5 sekund przed końcową syreną. Michał Sokołowski po kontuzji wrócił do pierwszej piątki. W 25 minut zdobył 8 punktów, miał też 2 zbiórki i 1 asystę. Skuteczność Polaka pozostawia wiele do życzenia – trafił 1 z 5 rzutów za trzy oraz 1 z 2 za dwa punkty. Na linii osobistych pewnie wykorzystał wszystkie trzy rzuty. W tabeli Sassari jest na 11. miejscu z bilansem 7-14 i ma coraz mniejsze szanse na play off.

■ W Bundeslidze Rostock SeaWolves przegrał w Hamburgu z Veolia Towers 77:78. Mecz był bardzo zacięty, ekipa z Rostocka dominowała w drugiej kwarcie (28:15), ale straciła zaliczkę w trzeciej części. Trenerem Seawolves jest Przemysław Frasunkiewicz, były szkoleniowiec Anwilu Włocławek. Po tej porażce Rostock spadł na 10. miejsce w tabeli, niewykluczone, że wystąpi w turnieju play in.

(p)

POD TABLICAMI

ZE STARGARDU DO IZRAELA

■ Luther Muhammad niespodziewanie opuszcza Stargard! Zawodnika wykupił czołowy klub z ligi izraelskiej. W piątek 25-letni Amerykanin rozegrał ostatni mecz dla PGE Spójni. Był bohaterem spotkania w Toruniu, gdzie zdobył 34 punkty i zapewnił swojej drużynie wygraną trafieniem w ostatnich sekundach. W Orlen Basket Lidze był na piątym miejscu w klasyfikacji najlepszych strzelców, średnio zdobywał 19 punktów w meczu. Teraz ma grać w Maccabi Ramat Gan, klub z Izraela ogłosił to w swoich mediach społecznościowych. – Z wielką radością dołączamy do naszych szeregów Luthera. Jego pozyskanie to był złożony proces aż do samego finału, zaangażowało się całe kierownictwo. To młody zawodnik, który gra w Europie zaledwie od dwóch lat, zrobił ostatnio bardzo duży postęp. Doda wszechstronności do naszej linii obrony, jest graczem, który potrafi rzucać i prowadzić grę. Nie możemy się doczekać, gdy do nas dołączy – skomentował trener Maccabi, Shmulik Brenner.

MAKURAT JAK BORKOWSKA

■ Kolejna polska zawodniczka z szansami na występy w WNBA. Informowaliśmy, że Kamila Borkowska z Zagłębia Sosnowiec podpisała kontrakt na obóz treningowy Connecticut Sun. Teraz podobny krok wykonała Anna Makurat. Zawodniczka włoskiego Geas Sesto San Giovanni pojawi się na obozie przygotowawczym Phoenix Mercury. – Jestem podekscytowana, na pewno zrobię wszystko, żeby pokazać się z jak najlepszej strony, aby wywalczyć miejsce w składzie na nadchodzącym obozie treningowym – mówi obwodowa reprezentantka na oficjalnej stronie PZKosz. 25-letnia rozgrywająca od trzech lat gra we Włoszech. Była zawodniczką Dinamo Banco di Sardegna Sassari, a następnie Umana Reyer Wenecja, z którym w 2024 roku sięgnęła po mistrzostwo kraju.

W przeszłości w WNBA grały Małgorzata Dydek, Krystyna Szymańska-Lara, Agnieszka Bibrzycka i Ewelina Kobryn. Występy w WNBA ma też na swoim koncie posiadająca polskie obywatelstwo reprezentanta naszego kraju Stephanie Mavunga.

(p)

URAZ POLAKA

NBA

■ W derbach Teksasu San Antonio podejmowali Dallas. Oba zespoły na finiszu sezonu zasadniczego są mocno ustabilizowane. W Mavericks brakuje m.in. Anthony'ego Davisa i Kyrie Irvinga, a Spurs grają bez Victora Wembanyamy. Niespodziewanie tym razem nie wystąpił też Jeremy Sochan. Reprezentant Polski kilka godzin przed meczem został wpisany na listę kontuzjowanych, ma problem z tydką. W listopadzie pauzował ponad miesiąc z powodu złamania kości paliczka. W styczniu miał problemy z plecami i też opuścił kilka spotkań. Teraz z kolei pojawił się problem z tydką. W sumie aż 12 graczy nie wystąpiło w poniedziałek z powodu kon-

tuzji. Dallas mieli wręcz problem ze skompletowaniem pełnego składu na to spotkanie. Mecz był zacięty, gospodarze wygrali pierwszą kwartę i prowadzili do przerwy. W drugiej połowie nieznacznie lepsi byli jednak goście. Spencer Dinwiddie zdobył 28 punktów, a Klay Thompson dodał 26. Ponadto Kessler Edwards zaliczył double double (22 punkty, 11 zbiórek). Dallas przerwali serię porażek, wygrali po raz pierwszy od 27 lutego. Dla San Antonio Harrison Barnes zdobył 29 „oczek”, a Keldon Johnson – 28. Dallas wciąż pozostają w grze o play off (obecnie 10. lokata), ekipa Spurs raczej straciła na to szansę. Dwa mecze w ciągu dwóch dni rozegrały między sobą czto-

we zespoły Zachodu. Dwukrotnie w Paycom Center w Oklahoma City doszło do starcia Thunder (lider konferencji) z Denver (wicelider, niedawny mistrz). W niedzielę zdecydowanie lepsi byli gospodarze, ale w poniedziałek Nuggets wzięli pełny rewanż. Goście zagrali świetną drugą połowę, którą wygrali 19 punktami. Mecz był też okazją do pojedynku głównych pretendentów do nagrody MVP za cały sezon: Shai Gilgeous-Alexander kontra Nikola Jokić. Tym razem nieco lepszy był Serb, który zanotował 35 punktów, 18 zbiórek i 8 asyst. Trafił 15 z 20 rzutów z gry! Gilgeous-Alexander, który dzień wcześniej ustrzelił 40 „oczek”, tym razem został zatrzymany na 25. Miał też 7 asyst, 3 zbiórki i 2 bloki. W tym sezonie Oklahoma City

i Denver spotkały się czterokrotnie, każdy zespół wygrał po dwa mecze. Niewykluczone, że dojdzie też do ich meczu w play off. Niestabienka na Brooklynie. Ostatecznie kontuzjami Lakers nie dali rady Nets. Goście wystąpili bez LeBrons Jamesa (mecz oglądał z ławki, nie jest jasne, kiedy wróci do gry), nie było też kontuzjowanych Jamesona Hayesa, Doriany Finney-Smitha oraz Rui Hachimury. Mimo to losy meczu ważyły się do końca. Goście wysoko wygrali pierwszą kwartę, ale pościg zdeterminowanych Nets okazał się skuteczny. Luka Dončić zanotował triple double (22 punkty, 12 zbiórek, 12 asyst), ale miał problemy z celownikiem (trafił tylko 8 z 26 z gry). To piąte triple double Stowierca w sezo-

nie i drugie w koszulce Lakers. 12 sekund przed końcem daleką trójką zmniejszył straty do dwóch punktów (106:108), ale na więcej gospodarze już nie pozwolili. Nets przegrali serię porażek. W tabeli Wschodu zajmują odległe 11. miejsce. Lakers są na trzeciej pozycji na Zachodzie, ale bez Jamesa może im być ciężko przeskoczyć wiceliderów z Denver.

Wyniki: Golden State - Portland 130:120, Toronto - Washington 119:104, Miami - Charlotte 102:105, Brooklyn - LA Lakers 111:108, Boston - Utah 114:108, Atlanta - Philadelphia 132:123, Oklahoma City - Denver 127:140, Memphis - Phoenix 120:118, Houston - Orlando 97:84, Chicago - Indiana 121:103, San Antonio - Dallas 129:133, Sacramento - New York 104:133.

(p)

Finałowa przeszkoda

PUCHAR CHALLENGE

Bogdanka LUK Lublin w swoim debiucie w europejskich pucharach od razu awansowała do finału Pucharu Challenge. We wcześniejszych rundach nie miała zbyt wymagających rywali, bo Sporting Lizbona, CV Melilla czy Tourcoing Lille Metropole trudno uznać za czołowe drużyny w Europie, ale w decydującej rozgrywce to się zmieniło. Naprzeciw Wilfredo Leona i spółki stanie bowiem Cucine Lube Civitanova. Pierwszy mecz w środę w Lublinie o 20.30, a rewanż 19 marca we Włoszech.

Cucine Lube to czołowa włoska ekipa. Jej zawodnikami są m.in.: mistrz olimpijski z Paryża, Francuz Barthelemy Chinenyeze, reprezentanci Kanady Eric Loepky, Bułgarii Aleksandar Nikołow, Turcji Adis Lagumdžija oraz Włoch Fabio Balaso, Mattia Bottolo czy Mattia Boninfante.

(mic)

PLUSLIGA

■ **GKS Katowice – PGE GieK Skra Bełchatów 0:3 (21:25, 21:25, 19:25)**

KATOWICE: Fenoszyn, Kisiluk (9), Hudzik (3), Gomulka (10), Bouguerra (11), Krulicki (5), Mariński (libero) oraz Domagała (2), Waloch (libero), Tuaniga. Trener Emil SIEWIOREK. **BELCHATÓW:** Łomacz, Kujundzić (10), Szalacha (3), Esmailnezhad (16), Perić (14), Lemański (12), Marek (libero) oraz Stern, M. Nowak, W. Nowak. Trener gheorghe CRETU. Sędziowali: Piotr Król (Katowice) i Wojciech Maroszek (Żory). Widzów 230.

Przebieg meczu

I: 10:8, 13:15, 19:20, 21:25.

II: 7:10, 10:15, 15:20, 21:25.

III: 6:10, 11:15, 16:20, 19:25.

Bohater – Bartłomiej LEMAŃSKI.

1. Jastrzębie	28	72	23/5	77:27
2. Warszawa	28	66	24/4	75:32
3. Zawiercie	28	66	22/6	73:32
4. Lublin	28	60	20/8	70:39
5. Kędzierzyn-K.	28	58	20/8	65:43
6. Rzeszów	28	54	17/11	67:48
7. Bełchatów	28	48	16/12	59:51
8. Częstochowa	28	43	15/13	57:56
9. Suwałki	29	39	14/15	56:63
10. Gdańsk	28	34	11/17	50:65
11. Olsztyn	28	34	10/18	46:59
12. Gorzów	28	28	11/17	43:66
13. Nysa	28	25	7/21	39:71
14. Łwów	28	20	7/21	40:71
15. Katowice	29	15	5/24	33:78
16. Będzin	28	13	3/25	26:76

1-8 awans do play off; 14-16 spadek do I ligi

Następne mecze: 14.03.: Gorzów Wlkp. – Olsztyn, Nysa – Zawiercie; 15.03.: Jastrzębie – Lublin, Kędzierzyn-Koźle – Rzeszów, Będzin – Łwów; 16.03.: Bełchatów – Warszawa; 17.03.: Gdańsk – Częstochowa.

Zgodnie z planem

Zawiercianie rozprawili się na wyjeździe z SVG Lueneburg i są blisko awansu do Final Four. Niemiecki zespół jedynie w drugim secie potrafił się im przeciwstawić.

LIGA MISTRZÓW

Mecz w Lueneburgu dla obu zespołów miał historyczne znaczenie. Po raz pierwszy bowiem znalazły się w ćwierćfinale Ligi Mistrzów. O ile obecności „Jurajskich rycerzy” w gronie ośmiu najlepszych drużyn Europy można było się spodziewać, tak niemiecka drużyna sprawiła ogromną niespodziankę. W fazie grupowej okazała się lepsza od wyżej notowanego Chaumont VB 52, a w play offie od RV Berlin.

Aluron CMC Warta okazała się już zbyt mocny. Gospodarze, wspomagani przez komplet widzów, niewiele byli w stanie wskórać. Zawiercianie błyskawicznie pokazali im, kto rządzi na parkiecie. Mocna i precyzyjna zagrywka, mocne ataki Karola Butryna oraz Aarona Russella i ustawiony z wyczuciem blok zrobiły różnicę. Przyjezdni prowadzili od początku, wygrywając wysoko premierowego seta.



Aaron Russell (z prawej) i Miguel Tavares Rodrigues mieli ogromny udział w sukcesie „Jurajskich rycerzy”.

W kolejnym zanosilo się na powtórkę. Pierwsze piłki znów należały do naszych siatkarzy. Potem jednak nastąpiło rozluźnienie w ich szeregach. Przestali trafiać z zagrywki, kilka ra-

zy pomylili się też w ataku. Gospodarze to wykorzystali. Od stanu 10:15 doprowadzili do 15:16. Te kilka odrobionych punktów pozwoliło im uwierzyć w swoje możliwości. Swoje zrobili

też miejscowi fani, którzy głośno wsparli swoich zawodników. Zawiercianie się pogubili, ale po kilku minutach opanowali sytuację i w pełni zdominowali końcówkę.

I to był jedyny moment w meczu, w którym przyjezdni mogli poczuć się niepewnie. W trzecim secie nie dali się już rozkręcić rywalom, odnosząc pewne zwycięstwo.

Rewanż 18 marca w Sosnowcu. Zawiercianie do awansu do Final Four potrzebują wygrać dwa sety.

(mic)

ĆWIERĆFINAL

■ **SVG Lueneburg – Aluron CMC Warta Zawiercie 0:3 (15:25, 21:25, 14:25)**

LUENEBURG: Wright (1), Espeland (5), Torwie (5), X. Ketrzynski (10), Karlitzek (1), Leeson (1), Worsley (libero) oraz Kunstmann (1), Mohwinkel (8). Trener Stefan HUEBNER.

ZAWIERCIE: Tavares Rodrigues (3), Kwolek (7), Bieniek (5), Butryn (15), Russell (13), Gładyr (10), Perry (libero). Trener Michał WINIARSKI. Sędziowali: Marie-Catherine Boulanger (Belgia) i Marco Van Zanten (Holandia). Widzów 3200.

Przebieg meczu

I: 5:10, 9:15, 13:20, 15:25.

II: 7:10, 10:15, 18:20, 21:25.

III: 4:10, 7:15, 9:20, 14:25.

Bohater – Karol BUTRYN.

Niewiele atutów

DevelopRes Rzeszów i PGE Grot Budowlani Łódź stają przed misją prawie niemożliwą.

LIGA MISTRZYN

Polskie drużyny w rozegranych przed tygodniem pierwszych meczach 1/4 finału we własnych halach zgodnie przegrały po 0:3 z A. Carraro Imoco Volley Conegliano oraz Savino del Bene Scandicci. Wyniki nie były zaskoczeniem, bo włoskie ekipy należą do najlepszych w Europie. Rzeszowianki miały jednak czego żałować, bo mogły urwać choćby seta. W trzecim miały bowiem aż 11 punktów przewagi i... przegrały. – Bardzo szkoda tego seta, bo prowadziłyśmy bardzo wysoko i miałyśmy szansę, której nie wykorzystaliśmy. Miałyśmy wiele przestojów, przede wszystkim w pierwszym ustawieniu, w którym nie mogłyśmy skończyć akcji. Trochę nas podłamało, że nie miałyśmy żadnego rozwiązania w ataku – mówiła Magdalena Jurczyk, środkowa DevelopResu. – Trzeba wyciągać wnioski z każdego takiego spotkania. Nawet mając 11 punktów przewagi, należy utrzymać koncentrację, a nie myśleć, że set się sam wygra.

– Dawno nam się nie zdarzyła taka sytuacja, ale to dobra lekcja dla nas, bo tego trzeciego seta zagraliśmy bardzo „miętko”. To się nie może powtórzyć. Rzeszów nie miał nic do stracenia, więc weszła Aleksandra Dudek i rozegrała mecz życia. Czego się dotknęła, robiła punkt. Super, że udało nam się odrobić tę stratę, bo to nie było łatwe – przyznała Joanna Wołosz, rozgrywająca zespołu z Conegliano.

Rewanż we Włoszech wydają się formalnością. Imoco i Savino są zdecydowanymi faworytami. By awansować do Final Four, potrzebują tylko dwóch wygranych setów.

W pozostałych ćwierćfinałach Numia Vero Volley Mediolan, prowadzona przez selekcjonera reprezentacji Polski Stefano Lavariniego, wygrała pierwsze starcie z Eczaci-basi Dynavit Stambuł 3:0. Z kolei w derbach Stambułu VakıfBank uległ Fenerbahçe Mediana 0:3.

Turniej finałowy odbędzie się w dniach 3-4 maja w Stambule.

(mic)

MECZE POLSKICH DRUŻYN

Środa, 12 marca

SCANDICCI, 18.00: Savino del Bene – PGE Grot Budowlani Łódź

CONEGLIANO, 20.30: A. Carraro Imoco Volley – DevelopRes Rzeszów

Sukces z problemami

Rzeszowianie po twardym boju pokonali Tours VB, dwukrotnie odrabiając straty.

PUCHAR CEV

Assec Resovia to obrońca trofeum. W bieżących rozgrywkach także należy do głównych faworytów i do półfinału awansowała bez problemów. W nim mierzy się z Tours VB, z którym przed rokiem nie poradziła sobie w Lidze Mistrzów.

Wtorkowy, pierwszy mecz pokazał, że naszą drużynę czeka trudna przeprawa. Francuski zespół zaprezentował kombinacyjną, ciekawą i skuteczną siatkówkę. Zaskoczył rzeszowian, którzy mieli ogromne kłopoty z przyjęciem zagrywki. Nie potrafili też zatrzymać Ryana Sclatera. Kanadyjski atakujący zdobył aż 31 punktów, kończąc większość akcji. Mocno wspierali go Antoine Pothron oraz Leandro Nascimento Dos Santos. Wśród gospodarzy prym wiodli natomiast Stephen Boyer oraz Bartosz Bednorz. Ten drugi walczył nie tylko z rywalami, ale też z kontuzją. Dopiero co powrócił do składu po urazie łydki, ale widać było, że nie zo-

stał on jeszcze do końca zaleczony.

Miejscowi dwukrotnie musieli odrabiać straty. Ostatecznie doprowadzili do tie-breaka. W decydującej rozgrywce byli zdecydowanie lepsi. Wzięta górę ich siła fizyczna. Tylko Sclater dotrzymywał kroku rzeszowianom, ale w pojedynkę wiele nie działał.

Rewanż 19 marca w Tours.

PÓŁFINAL

■ **Assec Resovia – Tours VB 3:2 (23:25, 25:21, 22:25, 25:21, 15:10)**

RZESZÓW: Ropret (1), Vasina (2), Woch (7), Boyer (28), Bednorz (23), Kłos (4), Potera (libero) oraz Cebulj (17), Bucki. Trener Tuomas SAM-MELVUO.

TOURS: Corić (2), Pothron (14), Voss (11), Sclater (31), Quiroga (9), Nascimento Dos Santos (12), Ramon (libero) oraz Faganas, Strehlau, Pelvet (libero). Trener Marcelo FRONC-KOWIAK. Sędziowali: Andreas Danil (Cypr) i Wołodimir Pajewski (Ukraina). Widzów 2750.

Przebieg meczu

I: 10:9, 13:15, 16:20, 23:25.

II: 8:10, 14:15, 20:17, 25:21.

III: 10:8, 15:14, 17:20, 22:25.

IV: 10:7, 15:13, 20:18, 25:21.

V: 5:3, 10:5, 15:10.

Bohater – Stephen BOYER.

Złoty gol Kanadyjczyka

Teraz rywalizacja przenosi się z Katowic do Oświęcimia, ale już wiemy, że powróci do Satelity.

TAURON HOKEJ LIGA

Obrońcy tytułu mistrzowskiego, hokeiści Re-Plastu Unii Oświęcim, po raz drugi zainicjowali w Satelicie rozważną grę, lecz tym razem nie odnieśli sukcesu. Goście ulegli GieKSie po dogrywce i wszystko zaczyna się od nowa.

Gospodarze wystąpili bez kontuzjowanego Bartosza Fraszki i już wiemy, że nie powróci do rywalizacji ligowej, a kto wie, czy pojawi się na zgrupowaniu przed mistrzostwami świata Dywizji 1A. Jego miejsce zajął Brandon Magee, a do składu powrócił „ozdrowieniec” Igor Smal. Natomiast szkoleniowcy gości nic nie „majstrowali”, bo przecież zwycięskiego składu się nie zmienia. W drugim meczu serii obie drużyny mocno koncentrowały się na defensywie, ale i w niej zdarzały się proste błędy, wynikające z dużej nerwowości jednych i drugich. Znacznie więcej pracy miał bramkarz Unii, Linus Lundin, który musiał bronić strzały Mateusza Bepierszcza z bliskiej odległości (5 i 12 minuta), Grzegorza Pasiutę (7) oraz Stephena Andersona (14). Z drugiej strony Radosław Galant (9), Ville Heikkinen i Erik Ahopelto (16) mogli zmienić rezultat.

W pierwszej przerwie trener Jacek Płachta dokonał przetasowania. Jean Dupuy dołączył do pierwszej formacji, natomiast Magee spadł do niższej. Gospodarze mieli więcej sytuacji pod bramką i Jean Dupuy (dwa razy), ponownie Bepierszcz czy Pasiut znów mogli pokonać szwedzkiego golkipera. W 31 minucie, podczas gry w przewadze (podmierna liczba graczy), pod bramką gości powstał straszny tumult, bezpański



Jean Dupuy (z lewej) zdobył zwycięską bramkę w dogrywce.

krążek kilka razy leżał na taflę, ale nikt z gospodarzy nie zdołał go skierować do siatki. I ta sytuacja się zemściła, bowiem w 35 minucie Henry Karjalainen zdecydował się na uderzenie spod bandy, Jere Vertanen skutecznie zastrzał bramkę, a John Murray odbił krążek przed siebie. Dopadł do niego Erik Ahopelto i wpakował bez trudu do bramki. Trener Płachta poprosił o wideo challenge, ale sędziowie po analizie wskazali na środek. Słusznie, bo powtórki pokazały, że wszystko przebiegało zgodnie z literą hokejowego prawa. W 37 minucie Dupuy popisał się efektywnym rajdem niemal przez całą taflę i mocno uderzył, ale Lundin po raz kolejny wykazał się refleksem, a dobitką Pasiutę również nie dał się zaskoczyć. Może gra gości nie była olśniewająca, ale przede wszystkim rozsądna i ekonomiczna.

W kolejnej przerwie trener gospodarzy poszedł jeszcze dalej i zdecydował się na grę tylko trzema atakami. I ten manewr przyniósł efekt. W 43 minucie Dupuy zdecydował się na uderzenie i krążek „tańczył” między łyżwami Radosła-

wa Galanta w polu bramkowym. Najsprytniejszy okazał się Patryk Wronka i wpełnił go do siatki. Upór i cierpliwość gospodarzy została nagrodzona i teraz grali nieco pewniej i znów sprawdzali czujność Ludnina, ale ten był pewniakiem.

PÓŁFINAL PLAY OFFU

■ GKS Katowice – Re-Plast Unia Oświęcim 2:1 (0:0, 0:1, 1:0, 1:0) po dogrywce

Stan rywalizacji 1-1

0:1 – Ahopelto – Karjalainen – Vertanen (34:25), 1:1 – Wronka – Dupuy – Pasiut (42:27), 2:1 – Dupuy – Sokay – Runesson (67:15)

Sędziowali: Bartosz Kaczmarek i Wojciech Czech – Mateusz Kucharewicz i Eryk Sztwiertnia. Widzów 1435.

GKS: Murray; Runesson – Englund (2), Verveda – Norberg (2), Varttinen – Koponen, Macias; Magee – Pasiut (2) – Wronka, Mroczkowski – Sokay – Dupuy, Kallionkieli – Anderson – Bepierszcz (2), Jonasz Hofman – Salituro – Michalski. Trener Jacek PŁACHTA.

UNIA: Lundin; Ackered (2) – Soderberg, Diukow (2) – Vertanen (2), Kulusz – Bezuska, Wajda; Holm – D. Olsson Trkulja – Sadtocha (2), Karjalainen – Heikkinen – Ahopelto, Marklund – Dziubiński – Huhdanpaa, Galant (2) – Krzemień (2) – Liljwall, Kusak. Trener Antti KARHULA.

Kary: GKS – 8 min, Unia – 14 (2 tech.) min.

Trzeci mecz w piątek, 14 marca, w Oświęcimiu. Początek o 18.00.

Na początku 49 minucie doszło do szamotaniny przy boksie gości i po dwóch zawodników znalazło się na ławce kar. A pod koniec tej minuty Carl Ackered zatrzymał krążek w polu bramkowym i powędrował do boksu kar. GKS nie wykorzystał tej przewagi, a chwilę potem Albin Runesson znów miał szansę, ale po raz kolejny „guma” nie znalazła się w siatce. Wyśliki obu zespołów spełzły na niczym i była dogrywka, a w niej sporo czarowania i kilka świetnych sytuacji. W 64:05 Bepierszcz i Vertanen powędrowali do boksu kar za starcie boksersko-zapaśnicze. W końcu kanadyjski duet gospodarzy: Ben Sokay – Dupuy wyprowadził „zabójczą” kontrę i ten drugi zdobył złotego gola dla katowiczów, którzy tym samym wyrównali stan rywalizacji w półfinale rozgrywek.

Włodzimierz Sowiński

Dżentelmen z sukcesami

NHL

Nathan MacKinnon, 29-letni lider Colorado Avalanche, uchodzi nie tylko za świetnego strzelca, ale również za dżentelmena na lodzie. Rzadko popada w konflikt z hokejowym prawem, bo interesuje go przede wszystkim dobro drużyny, strzelanie goli i asystowanie kolegom. Zadebiutował w drużynie, gdy miał 18 lat i 31 dni w 2013 roku, zaś dziewięć lat później wraz z kompanami świętował zdobycie Pucharu Stanleya (2022, w serii 4-2 z Tampa Bay). Jest mistrzem i wicemistrzem świata z reprezentacją „Klonowego Liścia” (2015 i 2017). Od lat należy do czołówek w punktacji kanadyjskiej oraz wśród strzelców i tak będzie również w tym sezonie. MacKinnon w wygranym meczu Colorado z Chicago Blackhawks 3:0 (0:0, 0:0, 3:0) został setnym graczem w historii ligi, który zdobył 1000 punktów w karierze. W 41 minucie asystował przy trafieniu Artturiego Lehtonen i w tym momencie „pętką” ta magiczna granica. A potem podawał przy голу Martina Necasa (44) i w 856 meczach ma już 1001 punktów (362 gole+639 podań). Został trzecim zawodnikiem w klubowych kronikach, który może się pochwalić takim dorobkiem i dołączył do Joe Sakica (1641) oraz Petera Stastny’ego (1048). Sam zainteresowany bagatelizuje to wydarzenie, bo taki ma styl bycia. Niemniej pewnie po zakończeniu kariery będzie mile wspominał ten moment. Przed nim jednak jeszcze sporo grania i poprawianie kolejnych osiągnięć. Gwoli dziennikarskiego obowiązku trzeba dodać, że wynik potyczki ustalił Joel Kiviranta, który na 54 sekund przed końcem postat krążek do pustej bramki. Natomiast Scott Wedgewood obronił 20 strzałów i zaliczył drugie czyste konto w sezonie oraz ósme w karierze. To był szóste zwycięstwo Avalanche z rzędu.

Hokeiści Toronto Maple Leafs w wyjazdowym meczu mocno się męczyli z niżej notowanym Utah, ale ostatecznie wygrali 4:3 (2:0, 1:3, 0:0) po karnych 2-1. Zwycięskiego gola zdobył Mitchell Marner.

W tabeli nadal prowadzą zespoły Winnipeg (Zachód) i Washington (Wschód), które zdobyły po 92 punkty i w obu konferencjach mają znaczną przewagę nad grupą pościgową.

Wyniki: Colorado – Chicago 3:0, Utah – Toronto 3:4 po karnych, Buffalo – Edmonton 3:2, Ottawa – Detroit 2:1.

(ws)

SPÓD BANDY

NURMINEN ODCHODZI

■ Juha Nurminen nie będzie już trenerem drużyny z Torunia, bo jego kontrakt nie został przedłużony. Energia, mająca wysokie aspiracje, przegrała serię w ćwierćfinale play offu z JKH GKS-em Jastrzębie 2-4 i działacze doszli do wniosku, że czas na zmiany. 57-letni Fin prowadził zespół w 92 spotkaniach (42 wygrane i 50 porażek) i dwa razy zdobył pią-

te miejsce. Po decyzji o rozstaniu działacze rozpoczęli intensywnie poszukiwania trenera, a ich ślady prowadzą do... Finlandii.

CO Z „PASAMI”?

■ Szefowie Comarch Cracovii przed sezonem dokonali istotnych zmian organizacyjno-finansowych. Trenerski duet Marek Ziętara-Jacek Szopiński skompletował skład z wie-

lu rodzimych zawodników młodszego pokolenia. Start był udany, ale w miarę upływu czasu zespół obniżał loty i odpadł w 1. rundzie play offu, zajmując szóstą lokatę. W kuluarach mówi się o kolejnych zmianach organizacyjnych. Sekcja hokejowa stanie się w pełni autonomiczna, a to oznacza, że zostanie wyprowadzona ze spółki KS Cracovia. Dzięki temu jej finanse staną się bardziej

przejrzyste. Prezes Mateusz Drózdź będzie odpowiadał tylko za piłkę nożną, zaś za hokej ma być odpowiedzialny Adam Zięba, swego czasu dyrektor tej sekcji. Przyszłość zespołu jest jednak otoczona mgiełką tajemnicy, nikt bowiem nie chce się wypowiadać o kadrze i wszyscy czekają na ustalenie ram organizacyjnych nowej spółki.

(ws)

Stacja Stadium-Chinatown

Dla Kanadyjczyków hokej to religia, a jednocześnie miłość, pasja, styl życia, ale przede wszystkim sport narodowy, choć tym podobno jest lacrosse.

Leszek Jazwiecki z Vancouver

W pracy czas się nieco dłużył, ale na szczęście wszystko poszło sprawnie, można już o tym zapomnieć, teraz liczy się tylko mecz. Pewnie, że wygramy, mamy więcej atutów od rywala, jesteśmy wyżej w tabeli – uważa Josh, kibic Vancouver Canucks, stojący w kolejce do wejścia do hali. Ten drugi argument tego postawnego mężczyzny nie zawsze jednak znajduje potwierdzenie. – Go, Canucks, go! – krzyknął z uśmiechem i zniknął w tłumie.

Drużyna Canucks domowe mecze rozgrywa w Rogers Arena. W tej samej, w której narodowy zespół Kanady 15 lat temu, podczas igrzysk olimpijskich, w finale turnieju hokejowego pokonał odwiecznego rywala, drużynę Stanów Zjednoczonych 3:2 i wywalczył upragniony złoty medal. Arena może pomieścić prawie 20 tysięcy kibiców i nierzadko jest wypełniona po brzegi. Wiele zależy jednak od rangi spotkania.

Nieopodal tego obiektu wybudowano BC Place Stadium, na którym mecze w MLS rozgrywa drużyna Vancouver Whitecaps FC. Otwarty w 1983 roku stadion może pomieścić prawie 55 tysięcy kibiców. 10 lat temu rozgrywano tam mecze mistrzostw świata w piłce nożnej kobiet. Tam też odbyły się ceremonie otwarcia i zamknięcia zimowych igrzysk olimpijskich w 2010 roku, a także igrzysk paraolimpijskich w tym samym roku. Wybudowany za ponad 120 milionów dolarów obiekt ma sztuczną nawierzchnię, nad boiskiem olbrzymie ekrany o 21 na 12 metrów i kilkadziesiąt łóż. Posiada też jeden z najnowszych systemów dźwiękowych. Rekord frekwencji padł podczas koncertu Eda Sheerana we wrześniu 2023. Wtedy pojawiło się tu 65 061 osób. BC Place Stadium będzie też areną piłkarskich mistrzostw świata w 2026, które mają zorganizować wspólnie Stany Zjednoczone, Kanada i Meksyk.

„Potężne Kaczory”

Ze względu na ograniczoną liczbę miejsc parkingowych – oba obiekty usytu-



Widownia lodowiska w Vancouver zapelnia się na długo przed pierwszą... syreną okrętową.

owane są w centrum – większość kibiców wybiera jako środek lokomocji SkyTrain. To w większości naziemna bezobsługowa szybka kolej. Otwarto ją w 1985 roku przed wystawą Expo, którą Vancouver gościło rok później. Punktualność tej kolejki określana jest na 96 procent, a w całej historii nie zanotowano wypadku czy wykołowania. Co chwila na stacji Stadium-Chinatown z wagoników wylewa się tłum kibiców w barwach obu klubów. Na plecach nazwiska znanych, nie tylko aktualnych, hokeistów i piłkarzy.

Rywal Canucks to ekipa Anaheim Ducks. Nazwa amerykańskiego zespołu z Kalifornii została zaczerpnięta z familijnego filmu sportowego z 1992 roku „Potężne Kaczory”, wyprodukowanego przez wytwórnię Walt Disney Picture, która „maczała palce” w założeniu drużyny. Hokeiści Anaheim przyjechali do Vancouver oprobienieni zdobyciem dzień wcześniej trzech punktów w Edmonton.

Piwo droższe w hali

Tego samego dnia, o tej samej porze, swój mecz rozgrywali także piłkarze Whitecaps. Ich rywalem w 1/8 finału Pucharu Mistrzów CONCACAF (odpowiednik europejskiej Ligi Mistrzów) była drużyna CF Monterrey. Czołowym piłkarzem meksykańskiego klubu ze stolicy stanu Nuevo Leon jest czterokrotny zwycięzca LM z Realem Madryt, Sergio Ramos. Gdyby udało się drużynie Whitecaps przejść tego rywala, mogliby się zmierzyć z Interem Miami, gdzie

gwiazdą jest Leo Messi. Argentynczyk ma jednak zapis w kontrakcie, że nie gra na sztucznej nawierzchni, a taka jest na BC Place Stadium i w tym przypadku kibice w Vancouver musieliby się obejść smakiem. Messiego być może mogliby oglądać na ławce rezerwowych. Na razie Whitecaps mierzy siły z Monterrey, a Ramos, były reprezentant Hiszpanii, to z pewnością wystarczający magnes dla kibiców. Hokej czy piłka nożna? Jakiegoś wyboru trzeba było dokonać, w moim przypadku padło na hokej.

Pierwsi kibice pojawili się w okolicy stadionu i hali już kilka godzin przed rozpoczęciem spotkań. Część z nich ten czas postanowiła spędzić w licznych tu pubach. O wolne miejsce nie było łatwo. Wszędzie gwarowo i kolorowo, na ścianach co kilka metrów telewizor, monitor jest nawet w... toalecie, aby kibic nic nie stracił, gdyby musiał w trakcie meczu z niej skorzystać. Kelnerzy sprytnie i zwinnie przesuwały się obok stolików, roznosząc piwo. Trunku z pianką można napić się także w hali i na stadionie, ale cena jest zdecydowanie wyższa. Oczywiście tematem głośnych rozmów są oba mecze.

Krańek za 20 dolarów

Oblegane są liczne stoiska w gadzetami i klubowymi pamiątkami. Bluzę meczową Canucks można kupić za około 250-300 dolarów. Pamiątkowy krańek z meczu z Anaheim kupiłem za 20 dolarów. Cały regał w klubowym sklepie Canucks zajmują czapki z daszkiem,

a ich cena rozpoczyna się od 45 dolarów. Można kupić nawet spiozski w barwach klubu z Vancouver. Tłoczno jest także przy stanowiskach gastronomicznych. Piwo to koszt 16 dolarów, około „dychy” trzeba wydać na inne napoje. Kolejka, i to całkiem spora, jest także do toalety.

Zbliża się początek spotkania. Kolejki po piwo topnieją, za to zapelniają się sektory. Coraz mniejsza jest też kolejka do loterii, gdzie można kupić los i – jak będzie sprzyjać szczęście – wyjść z hali z pokaźną sumą. Zasada jest taka, że ogólna pula zebranych pieniędzy dzielona jest na pół: jedna część na cele charytatywne, druga do kieszeni tylko jednego kibica. Losowanie odbywa się w połowie trzeciej tercji i wzbudza niemałe emocje. Tym razem do wygrania było ponad 200 tysięcy dolarów!

„Buy Canadian Instead”

Spotkania w kanadyjsko-amerykańskiej zawodowej NHL rozpoczynają się od odśpiewania hymnów narodowych obu krajów. Tak się złożyło, że mecz z Anaheim odbył się dosłownie kilkanaście godzin po przemówieniu przed oboma izbami prezydenta USA, Donalda Trumpa. Kanadyjczycy nie są zadowoleni z nałożenia przez administrację południowego sąsiada ceł na produkty z Klonowym Liściem, protestując, zachęcając do kupowania tylko swoich wyrobów. W sklepach pełno tabliczek z napisem „Buy Canadian Instead” w miejscach, gdzie do niedawna stały jeszcze produkty sprowadzane z USA. I choć sport nie powi-

bramkami. Jak to jednak bywa, na prowadzenie wyszli hokeiści amerykańscy. Był to dopiero trzeci strzał Anaheim na bramkę gospodarzy; hokeiści Canucks mieli ich już 17. Po drugiej tercji miejscowi kibice mieli jednak powody do zadowolenia, bo ich drużyna prowadziła 2:1.

W ruch poszły pięści

Emocjonująca była końcówka spotkania. Gospodarze prowadzili 3:1, pozwolili jednak drużynie Anaheim zdobyć kontaktowego gola. Goście poszli za ciosem. Wycofali bramkarza, gospodarze jednak mądrze się bronili. Gra się zaostrzyła i – co jest chlebem powszednim w NHL – w ruch poszły także pięści. Wynik jednak nie uległ zmianie. Kibice miejscowych po końcowej syrenie odetchnęli z ulgą i oklaskami pożegnali zawodników.

– Zagrali całkiem poprawne spotkanie i powinni wygrać wyraźniej – przyznał siedzący obok Kyle, któremu towarzyszyły żona i córka. – Nasi zawodnicy pokazali, że są gotowi na play off i mogą sprawić jeszcze niejedną radość kibicom – podkreślał wyraźnie zadowolony kibic Canucks.

Tego wieczoru kibice w Vancouver mieli jednak mieszane odczucia. Cieszyli się ze zwycięstwa hokeistów 3:2, którzy tym samym przybliżyli się do play offu, ale nie byli zbyt zadowoleni z remisu piłkarzy. W rewanżu w Meksyku piłkarze Whitecaps FC staną przed trudnym zadaniem. Po ostatniej syrenie i ostatnim gwizdku zarówno Rogers Arena, jak i BC Place Stadium szybko opustoszały. Jutro przecież normalny dzień pracy, ale od rana będzie o czym rozmawiać. I tak do następnego meczu...



By kupić takie ciuszki dla dziecka, trzeba wyciągnąć z portfela kilkaset dolarów.

Słońce świeci tylko dla Igi

Najpierw deszcz przegonił z kortu Igę Świątek i Karolinę Muchovą, a potem Polka przegoniła Czeszkę w 57 minut. I wtedy znów się rozpadało...

Nie ma na razie mocnych na Igę Świątek w turnieju BNP Paribas Open WTA 1000 w Indian Wells. Broniąca tytułu Polka robi to, co zwykle na pustyni w Kalifornii - nie tylko wygrywa łatwo i przekonująco, ale chyba wyznaczyła sobie jakiś challenge: nie stracić w meczu więcej niż dwóch gemów! We wtorek więc w trzecim kolejnym meczu - bez względu kto stoi po przeciwnej stronie siatki - dokładnie tyle oddała rywalce i wciąż całkiem świeżutka jest już w ćwierćfinale, spędzając łącznie na korcie nieco ponad trzy godziny.

Po Francuzce Caroline Garcia (71. WTA) i Ukraince Dajanie Jastremskiej (46.) następną ofiarą wielce liderki rankingu została już nie byle kto, bo 15. na świecie Karolina Muchova. Czeszka może się pocieszać jedynie tym, że w porównaniu z poprzedniczkami, proporcjonalnie rozłożyła własne skromne zdobycze w obu setach, nie kończąc spotkań z zawsze przykrym zerem po swojej stronie. Ale z drugiej strony stawiała opór Polce najkrócej - zaledwie 57 minut...

Najpierw rządził deszcz...

Mecz rozpoczął się z prawie godzinny opóźnieniem. Powodem były opady deszczu, które uniemożliwiły tenisistkom grę. Polka i Czeszka wyszły na kort i zaczęły się rozgrzewać zgodnie z planem o godz. 19.00 czasu w Polsce przy lekkiej mżawce, jednak akurat w momencie, gdy miały rozpocząć pojedynek, deszcz zaczął padać znacznie mocniej. Zawodniczki musiały wrócić do szatni. Ostatecznie spotkanie roz-



Iga Świątek w Indian Wells pokazuje swoją siłę.

poczęło się godzinę później, już przy świecącym słońcu.

Początkowe perturbacje nie wybiły z rytmu 23-letniej raszynianki, która od początku imponowała koncentracją i pewnością zagrania. Szybko dwukrotnie przełamała 28-latkę z Ołomuńca, która podkreślała licznik niewymuszonych błędów.

...a potem znów rządził deszcz

Czeszka w końcu obrosła swoje podanie przy stanie 0:4, ale w siódmym gemie oddała go „na sucho” i po niespełna pół godzinie było 1-0 dla Igi, a za chwilę już 3:0 w drugiej partii. Wtedy jeszcze raz Muchova wywalczyła gema, ale poziom nie potrafiła utrzymać - albo biła po autach,

albo była bezwzględnie karcona przez Świątek. Po 58 minutach return Czeszki znów wylądował za linią końcową i Iga zamknęła spotkanie pierwszą piłką meczową. Mecz trwał tyle, ile jego opóźnienie spowodowane deszczem. Gdy tenisistki zeszły z kortu, nad „tenisowym rajem” w Kalifornii znów zaszło słońce, niebo się zaciągnęło i zaczęło padać...

Przegrała tylko raz

To był piąty pojedynek tych tenisistek i czwarte zwycięstwo Świątek. Przegrała tylko ich pierwszą konfrontację w 2019 roku w Pradze, a później pokonała ją w finale wielkoszlemowego French Open w 2023, dwa miesiące później w Montrealu oraz

w Nowy Rok w drużynowym United Cup w Sydney.

Polka, dwukrotna triumfatorka w Indian Wells (2022, 2024) może już pochwalić się w turnieju bilansem zwycięstw do porażek 21-2 (91 procent). Jest pierwszą tenisistką, która dotarła tu do ćwierćfinału w czterech kolejnych latach od Karoliny Pliskovej z lat 2016-19.

O awans do półfinału Iga poważy albo z rozstawioną z numerem 8. Chinką Qinwen Zheng, albo z turniejową 18. Ukrainką Martą Kostjuk.

Blamaż Hurkacza

W Indian Wells nie ma już polskiego tenisisty. W poniedziałek Hubert Hurkacz (21. ATP) w fatalnym stylu przegrał w 3. run-

7.
RAZ
Hubert Hurkacz przegrał mecz, oddając seta lub dwa do zera. Oprócz de Minaura, Polaka w ten sposób upokorzyli również Francuz Gael Monfils - dwukrotnie (Indian Wells 2024, Montreal/Toronto 2019), Serb Novak Djoković (Paryż halowy 2021), Włoch Matteo Berrettini (Wimbledon 2021), Hiszpan Roberto Bautista Agut (Kolumbia 2020) i Chorwat Marin Čilić (US Open 2018).

dzie z rozstawionym z numerem 9 Australijczykiem Alexem de Minaurem 4:6, 0:6. Spotkanie trwało zaledwie godzinę i 13 minut. W drugiej partii Polak zanotował tylko jedno zagranie wygrywające i aż 15 niewymuszonych błędów. Łącznie wygrał w niej zaledwie 10 piłek. W efekcie przegrał seta do zera. To było trzecie spotkanie tych tenisistów i druga wygrana de Minaura.

Najlepsze wyniki w Indian Wells Hurkacz osiągnął w 2019 i 2021 roku, kiedy docierał do ćwierćfinału.

Nie powiodło się także Janowi Zielińskiemu, który w parze z Sanderem Gillem niespodziewanie przegrał już w 1. rundzie debła z Yukim Bhambriem z Indii i Szwedem Andre Goranssonem 6:3, 6:7 (5-7), 8-10. Zielińskiego - dwukrotnego mistrza wielkoszlemowego w parze z Hsieh Su-wei z Tajwanu (Australian Open i Wimbledon 2024) - zabraknie w trzydniowym turnieju miksta w Kalifornii, który z udziałem 12 par rozpoczyna się w środę.

Tomasz Mucha

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

ŚRODA, 12 MARCA

TVP1

20.10 Przegląd wydarzeń, 20.55 Pn: Liga Mistrzów, Arsenal - PSV (na żywo)

TVP3

19.00, 21.40 Przegląd wydarzeń regionalnych

TVP SPORT

17.30 Futsal: elim. ME, studio i Polska - Mołdawia, 20.15 Pn: LM, studio i Arsenal - PSV (na żywo), 23.15 Skróty LM

POLSAT SPORT 1

9.00 Polsat Futbol Cast, 15.45 Siatkówka: Liga Mistrzów, Halkbank Ankara - PGE Projekt Warszawa, 20.15 Challenge Cup: Bogdanka LUK Lublin - Cucine Lube Civitanova, 23.00 Tenis: 4. runda ATP w Indian Wells (na żywo)

POLSAT SPORT 2

12.20 Narciarstwo dowolne: PŚ w Livigno, finały na muldach podwójnych, 15.45 Siatkówka: Liga Mistrzów, Fenerbahce Medica Stambuł - VakıfBank Stambuł, 17.45 Liga Mistrzów: Olympiacos Pireus - JSW Jastrzębski Węgiel, 20.15 Liga Mistrzów: A. Carraro Imoco Conegliano - KS Developres Rzeszów (na żywo)

POLSAT SPORT 3

17.45 Siatkówka: Liga Mistrzów, Savino Del Bene Scandicci - PGE Grot Budowlani Łódź, 20.20 Piłka ręczna: Orlen Superliga Kobiet, KPR Gminy Kobierny - MKS Piotrcovia Piotrków Tryb. (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1

19.00 Tenis: 4. runda ATP w Indian Wells (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 2

20.20 Siatkówka: Puchar CEV, Trentino Itas - Ziraat Bank Ankara (na żywo)

EUROSPORT 1

12.20 Narciarstwo dowolne: PŚ w Livigno, finały na muldach (na żywo)

EUROSPORT 2

13.05 Kolarstwo: 3. etap Tirreno-Adriatico, 15.45 4. etap Paryż-Nicea (na żywo)

CANAL+ 360

17.30 Champions Club, 20.55 Pn: LM, Arsenal - PSV (na żywo)

CANAL+ SPORT 2

18.00 Tenis: 4. runda WTA w Indian Wells (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport

Adres: 40-007 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny

Andrzej GRYGIERCZYK

Redaktor wydania Grzegorz KACZMARZYK

e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl

Tel. 322587207

Wydawca

Edicom sp. z o.o.

ul. Hagera 41

41-800 Zabrze

Prezes Ryszard Halemba

Z KOLARSKICH TRAS

ŚCIGALI SIĘ NA TORZE FORMUŁY 1

■ Zespół Visma wygrał drużynową jazdę na czas, która stanowiła trzeci etap wyścigu kolarskiego Paryż-Nicea. Nowym liderem został reprezentujący jej barwy Amerykanin Matteo Jorgenson. O sześć sekund przed kolegą z ekipy, Duńczyka Jonasem Vingegaardem. Kolarze wystartowali na znany z wyścigów Formuły 1 torze Nevers Magny-Cours, a do pokonania mieli 28,4 km.

O końcowej kolejności ze spotów decydował czas najszybszego zawodnika w każdej ekipie. Jorgenson i Vingegaard wpadli na metę razem, z czasem 30.26. O 15 sekund wolniejsi byli Australijczycy Michael Matthews i Ben O'Connor z Jayco-AlUla. Trzecie miejsce, ze stratą 25 s, zajęła ekipa Red Bull-BORA-hansgrohe. Trzecie miejsce w „generalce” zajmują odpowiednio, Matthews i O'Connor. Obaj mają 21 s straty do Jorgensona.

Ośmioetapowy wyścig najwyższej kategorii World Tour zakończy się w niedzielę w Nicei nad Morzem Śródziemnym.

MILAN NAJSZYBSZY WŁOŚCZAK

■ Jonathan Milan (Lidl-Trek) wygrał drugi etap kolarskiego wyścigu Tirreno-Adriatico, którego trasą prowadziła z Camaiore do Follonicy (192 km). Liderem klasyfikacji generalnej pozostał jego rodak Filippo Ganna (Ineos Gren-

diers), który w poniedziałek był najlepszy w jeździe indywidualnej na czas. 24-letni włoski sprinter odniósł czwarte zwycięstwo w tym sezonie i 20. w karierze. Milan wywiązał się z roli faworyta, a za nim finiszowali dwaj mniej znani zawodnicy. Drugi był Holender Maikel Zijlaard (Tudor), a trzecie miejsce zajął Francuz Paul Penhoet (Groupama - FDJ). Zarówno Ganna, jak i trzech Polaków, którzy uczestniczą

we włoskiej imprezie - Michał Kwiatkowski (Ineos Grenadiers), Filip Maciejuk (Red Bull-Bora-hansgrohe) i Rafał Majka (UAE Team Emirates-XRG), nie brało udziału w sprinterskiej rozgrywce o zwycięstwo i w peletonie spokojnie dojechało do mety. Siedmioetapowy wyścig najwyższej kategorii World Tour zakończy się w niedzielę w miejscowości San Benedetto del Tronto nad Morzem Adriatyckim.

(g)

REMANENT

Marionetki w locie

Jerzy Chromik



Zima walczy z wiosną, a skoczkowie narciarscy o resztki zaufania telewizorów. Przy okazji niedawnych mistrzostw świata zbliżyli się niebezpiecznie nie do punktu K, nie do rekordu konkretnej skoczni, a do granicy śmieszności. Nie ma mowy o telemarku, chodzi tylko o to, by ustać na nogach i... pozostać przy zdrowych zmysłach.

Odszedłem od transmisji skoków z nartami wraz z Rudzińskim. W tych śmiesznych przelicznikach za wiatr i rekompensacie za obniżoną belkę gubiłem się jeszcze przy nim, ale teraz nie trzyma mnie przy tej rywalizacji już nic. Nie słyszę Marka, o głosie rozsądku nie wspominając. I raczej nie wygrzebię resztek zaufania do tej dziwacznej dyscypliny 15 krajów świata.

Taka historia na podorędziu. Dawno temu przyjaciel wydawał córkę za mąż. Nie za Matysza, ale... w matyszomanii. Amant z Anglii pojawił się u teściów w Warszawie z zamiarem poproszenia o jej rękę. Było dostojnie i bogato, ale gospodarze zapomnieli wyłączyć telewizor

podczas niedzielnej imprezy. Gość patrzył na ekran i nie rozumiał, co robią ci faceci z przypiętymi do butów nartami. Gdy kolejny odbił się od progu, narzeczony zapytał już prawie teścia: czy to aby na pewno sport? I dlaczego wszyscy w domu nie mogą oderwać oczu od telewizora, gdy jest do załatwienia sprawa o wiele ważniejsza, bo przyszłości ich córki.

A jaka jest przyszłość tej dyscypliny sportu? Po tym, co zaproponowali Norwegowie w zakładzie krawieckim, wydaje się, że bardzo niepewna. Gdzie i jak można jeszcze oszukać, by wygrać? Były przeróżne wkładki do butów, chowano i wyciągano języki. Brakowało tylko kasku niewidki. Teraz pozostaje majstrowanie przy majtkach. No, można jeszcze pokusić się, by sznurki były niewidoczne, a wtedy trenerzy w gnieździe mogliby sterować skoczkami w locie. Jak marionetkami.

Miałem stryja krawca. Gdy trzeba było poszerzyć nogawki, bo modne stały się tak zwane dzwony, to wsiadałem na skądak i po 15 kilometrach byłem u niego. Stryjek rzucał fastrygowanie



Nasza odpowiedź na knowania norweskich krawców.

pełnopłatnego garnitur, bo dzwony musiałem mieć nie na jutro, a na wczoraj. Na klasową dyskotekę! Skoczkom narciarskim dzwony nie są raczej potrzebne. Muszą tylko obniżyć tak zwany krok, by zrobić z siebie latawiec. Ci skaczący ponad 200 metrów nazywani są nawet lotnikami. Trochę na wyrost, ale co tam. Można dodać białą-czerwoną szachownicę i wygrywać w cuglach. No, to taki wiersz na środę, zamiast słowa na niedzielę:

Tańczowała igła z nitką,
Igła – pięknie, nitka – brzydko.
Igła cała jak z igiełki,
Nitce płaczą się supetki.
Igła naprzód – nitka za nią:
„Ach, jak cudnie tańczyć z panią!”
Igła biegnie drobnym ściegiem,
A za igłą – nitka biegiem.
Igła górą, nitka bokiem,
Igła zerka jednym okiem.
Sunie zwinna, zręczna, śmigła.
Nitka szepce: „Co za igła!”
Tak ze sobą tańczowały,
Aż uszyły kombinezon cały!

(Prawie) Jan Brzechwa

Powrót Kamila Stocha

Od czwartku rozpoczyna się rywalizacja w mini-turnieju Raw Air, w którym wystąpi sześciu Polaków.

Wielki skandal położył się cieniem na zakończonych w niedzielę mistrzostwach świata w Trondheim. Oszustwo Norwegów z kombinezonami skończyło się dyskwalifikacją trzech skoczków, w tym srebrnego medalisty Mariusa Lindvika. Światowa federacja (FIS) powołała komisję, która przeprowadzi śledztwo, mogące skutkować kolejnymi dyskwalifikacjami i odebraniem medali.

Były to także bardzo nieudane mistrzostwa dla polskiej reprezentacji, która po raz pierwszy od 2005 roku nie zdobyła medalu. Najwyższe lokaty to: 6. w konkursie drużynowym skoczków i 8. w rywalizacji mikstów. Indywidualnie Paweł Wąsek był 10. na skoczni normalnej i 11. na dużej. O wynikach w biegach oraz w kombinacji norweskiej nawet nie ma co wspominać.

Czy nasi skoczkowie pokazują się z lepszej strony podczas rozpoczynającego się w Oslo w czwartek mini-turnieju Raw Air, zaliczanego do klasyfikacji Pucharu Świata? Dotychczasowe wyniki raczej nie wróżą dobrze. W Norwegii wystartuje szóstka Polaków: Maciej Kot, Dawid Kubacki, Kamil Stoch, Paweł Wąsek, Jakub Wolny i Aleksander Zniszczoł. W składzie nie ma więc Piotra Żyły, który

w Trondheim wystąpił tylko na skoczni normalnej, niejako „z urzędu”, bo bronił mistrzowskiego tytułu. Zajął jednak odległe, 20. miejsce.

Wrócili do kadry Kamil Stoch i Maciej Kot. Tego pierwszego po raz pierwszy od 20 lat zabrakło na starcie mistrzostw świata, co było sporym zaskoczeniem. Teraz będzie miał okazję udowodnić trenerowi Thomasowi Thurnbichlerowi, że ten popełnił błąd, nie zabierając go na najważniejszą imprezę sezonu. Stoch jako jedyny Polak wygrał Raw Air i uczynił to dwukrotnie – w 2018 i 2020 roku. Kot powołanie otrzymał w nagrodę za to,

że dzięki dobrym występom w Pucharze Kontynentalnym zdobył dodatkowe miejsce dla Polski w Pucharze Świata.

Tegoroczny Raw Air – wystąpią w nim również kobiety – rozpocznie się w najbliższy czwartek prologiem i konkursem indywidualnym w Oslo. Dzień później na mamucie w Vikersund rozegrany zostanie prolog, a w sobotę zawody indywidualne. W niedzielę, też w Vikersund, po prologu będą trzy serie – pierwsza wyłoni 30 najlepszych, z których 20 awansuje do drugiej serii, a do trzeciej – czołowa dziesiątka.

(awa)



Kamil Stoch dwukrotnie wygrał Raw Air w Norwegii.

To oszustwo, a nie manipulacja

Tadeusz Szostak-Berda, doświadczony sędzia FIS, uważa, że tylko radykalne zaostrenie przepisów ukróci proceder „wyścigu zbrojeń”.

W sobotę dyskwalifikacja skoczków, dzień później powołanie przez Międzynarodową Federację Narciarską (FIS) komisji dochodzeniowej, a w poniedziałek zawieszenie trenera reprezentacji Magnusa Breviga oraz szefa technicznego kadry Adriana Liveltena – to efekt ujawnienia w trakcie MŚ niedozwolonych przeróbek w kombinezonach norweskiej ekipy. Złamanie przepisów miało polegać m.in. na wszywaniu elementów usztywniających ubiory, co w konsekwencji miało się przyczynić do dłuższych skoków.

Poproszony przez PAP o opinię w tej sprawie Szostak-Berda, który oprócz bycia sędzią od 20 lat szyje także kombinezony między innymi dla skoczków narciarskich, powiedział, że według niego nie chodzi o kilka metrów, jak podają niektóre media, a najwyżej półtora, ale bez względu na odległość dopuszczono się do oszustwa. – To oszustwo, a nie – jak niektórzy mówią – manipulacja. Za to powinna grozić nie dyskwalifikacja w zawodach, ale anulowanie wyników całego sezonu. Sztab po udowodnieniu winy także powinien ponieść bardziej dotkliwą karę. Tylko surowe restrykcje i radykalne zaostrenie przepisów mogą przerwać ten niezdrowy „wyścig zbrojeń” – zauważył.

Sędzia skoków od 1983 roku, a międzynarodowy od 2001, przypomniał, że już kilkanaście lat temu, dzięki zdjęciu jednego z fotoreporterów, przyłapano ekipę austriacką na podobnym ingerowaniu w kombinezon. – Ktoś sobie przypomniał tę sztuczkę z wszyciem, nazwijmy to, sznurka, który wtedy został poprowadzony od jednego buta przez nogawkę i krok do drugiej nogawki oraz zaczepiony o drugi but. Ale to jeden z wielu przykładów prób oszukiwania systemu, które nawet ciężko zliczyć i wymienić – zaznaczył. Zapytany, skąd jego zdaniem tak duża chęć podjęcia ryzyka, Szostak-Berda powiedział, że głównie stoi za tym systematycznie rosnący poziom czołówki. – Od kilku lat jest tam bardzo ciasno, więc oczywiście podium i medale wielkich imprez są najważniejsze. To przekłada się na pieniądze i to duże. Jeżeli nie zaostrozimy kar za oszustwo, takie próby wciąż będą podejmowane – ocenił. Jakie kary powinny wchodzić w grę? – Chociażby anulowanie wyników ekipy w całym sezonie, bo przecież nie wiemy, od kiedy dany proceder trwa. Jeżeli udowodni się zawodnikowi, że wiedział, co się dzieje, to na przykład dyskwalifikacja na jakiś odczuwalny dla niego czas – wyliczał arbiter.

Szostak-Berda dodał, że nie wszystkim zależy na zmianie przepisów i zaostreniu kar. – Trzeba chcieć, a najwyraźniej nie wszystkim na tym zależy. Często propozycje takich poprawek w głosowaniu upadają. Uważam, że to wywołuje właśnie takie próby „udoskonalania” sprzętu, a kontroler na skoczni jest bezradny, ponieważ najzwyczajniej w świecie brakuje mu narzędzi w postaci precyzyjnie dopracowanego i ostrego w wymowie paragrafu – zauważył doświadczony arbiter. Przypomniał też, że od lat są też pomysły, które być może ukróciłyby możliwość ingerowania w kombinezony skoczków. – Gdyby na przykład były podobne do tych alpejskich, bardzo opływowych, dostosowanych do ciała... Skończyłyby się testy przepuszczalności czy niepotrzebna byłaby cała seria pomiarów. No, ale od razu wysuwany jest argument, że muszą być, takie jakie są, ponieważ w tych alpejskich poprzez króci i rodzaj materiału na skoczni zwiększałaby się prędkość najazdu, a to groźne dla bezpieczeństwa i zdrowia. Ja bym się z tym nie zgodził, bo kwestię regulacji prędkości można załatwić na samych obiektach, na przykład ustawieniem belki – zakończył Szostak-Berda.

Joanna Chmiel (PAP)

Podczołgać się i zobaczyć bulgoczącą lawę

Rozmowa z **Ewą Wachowicz** i **Klaudią Cierniak-Kożuch**, zdobywczyniami „Korony Wulkanów”

W połowie stycznia osiągnęłyście panie coś niezwykłego, czyli jako pierwsze Polki „Koronę Wulkanów” – komplet najwyższych szczytów wulkanicznych na każdym kontynencie. Było trudniej, niż panie się spodziewałyście?

Ewa Wachowicz: – Na Antarktydzie tak (uśmiech). 14 stycznia stanęłyśmy na Mount Sidley i ten ostatni szczyt był rzeczywiście prawdziwym wyzwaniem.

A inne góry?

Ewa Wachowicz: – Też były trudne. Dla mnie sporym wyzwaniem był też Ojos de Salado w Andach, niespełna siedmiotysięcznik, najwyższy wulkan świata, który znajduje się w Chile. Drugim było Pico de Orizaba w Meksyku. Tu z kolei była prawdziwa wspinaczka, z użyciem czekanu, duże nachylenie na lodowcu, zakładanie stanowisk, zabezpieczenie siebie, plecaka, bo jakby coś wypadło, to turla się na sam dół... Ciekawym wulkanem jest też Giluwe na Papui-Nowej Gwinei, a nasze wejście było pierwszym polskim. To było w 2015 roku, nie było tam żadnej turystyki. Samo zorganizowanie tej wyprawy było wyczynem, jechałyśmy w kompletną niewiadomą.

A co pani najbardziej zapamięta?

Klaudia Cierniak-Kożuch: – Na pewno to, że łatwiej było zacząć, niż skończyć (uśmiech). To, że realizacja całego projektu zajęła nam 12 lat, świadczymy, że trochę czasu spędziłyśmy na tych wulkanach (uśmiech). Dla mnie w trakcie wypraw bardzo ważna stała się przyjaźń, która połączyła mnie i Ewę, bo przez ten okres była to nie tylko podróż przez świat, ale również podróż przez życie. Zarówno w życiu Ewy, jak i w moim bardzo wiele się wydarzyło, były wzloty i upadki. Przechodziłyśmy przez to razem. To jest więc nie tylko partnerstwo w górach, ale i przyjaźń w życiu. A zakończenie tego projektu to taka perełka w koronie.

Wiele było momentów, gdzie tak zwyczajnie, po ludzku – bałyście się?

Ewa Wachowicz: – Miałam taki moment na Ojos de Salado. Na szczęście mijałyśmy się z Klaudią, jeśli chodzi o załamki, jakie przydarzają się w górach. W momencie,

kiedy byłam tam rzeczywiście zmęczona, było ciężko, bardzo duży wiatr, duża wysokość, a ja słabo znoszę aklimatyzację – za to Klaudia była w świetnej formie. Podtrzymywała mnie na duchu. „Ewa, damy radę, daj spokój, już niedaleko, zobacz, widać górę” – mówiła i ten szczyt na szczęście rzeczywiście było widać...

Klaudia Cierniak-Kożuch: – A chwilę później ja miałam zjazd. „Jaka jestem zmęczona, czy daleko jeszcze?” A wtedy Ewa wchodziła na wysokie wibracje i ratowała sytuację (uśmiech). „No co ty, popatrz, jeszcze tylko kawałeczek...” (uśmiech).

Ja z kolei najbardziej się przestraszyłam, słuchając o szczegółach wejścia pań na Mount Sidley. Ekstremalnie niskie temperatury, atak przy przenikliwym zimnie i załamanie pogody sprawiły, że było wyjątkowo ciężko.

Ewa Wachowicz: – Temperatura odczuwalna wynosiła -49 stopni, a ta, którą można było zmierzyć, to -29. Trzeba było wytrzymać bardzo mocny wiatr i bardzo dużą wilgotność, a tym charakteryzuje się to miejsce, najbardziej mokre na Antarktydzie. Google, gdy przestawałam na nie chuchać, zaraz pokrywały się grubą warstwą lodu.



Klaudia Cierniak-Kożuch (z lewej) i Ewa Wachowicz zrealizowały niezwykle marzenie.

Klaudia Cierniak-Kożuch: – Dlatego jesteśmy bardzo dumne, że udało się skończyć ten projekt.

Wulkany jednak nie kojarzą się z zimnem. Który z nich najbardziej przypominał... wulkan?

Ewa Wachowicz: – Dla mnie Pico de Orizaba w Meksyku. Już z daleka wyglądał jak wulkan, a na koronie byłyśmy w stanie sfotografować krater. Wulkan ten jest absolutnie zjawiskowy pod względem urody. To „mister wulkanów” (uśmiech). A takie Kilimandżaro w ogóle ta nie wygląda (uśmiech).

Klaudia Cierniak-Kożuch: – Wulkany kojarzymy z kształtem, jaki dzieci ry-

ZDOBYWCZYNI

■ Ewa Wachowicz – prezenterka i producentka telewizyjna. Miss Polonia z roku 1992, znana z programów kulinarnych „Ewa gotuje”. Jurorka polskiej edycji „Top Chef” jest autorką książek kulinarnych, mitośniczką podróży, uczestniczką górskich wypraw trekkingowych i wspinaczkowych.

■ Klaudia Cierniak-Kożuch – ordynatorka oddziału laryngologicznego w Uniwersyteckim Szpitalu Dziecięcym w Krakowie-Prokocimiu, lekarka medycyny ekstremalnej i medycyny podróży. Z równą pasją diagnozuje, lecz i operuje małych pacjentów, jak zdobywa szczyty na całym świecie.

sują – to w miarę regularny trójkąt. Ze szczytów, które wchodzi w skład „Korony Wulkanów”, takie są Pico de Orizaba i Damavand w Iranie.

A czy któryś z nich zachowywał się jak wulkan, kiedy go zdobywałyście?

Ewa Wachowicz: – Był taki, ale akurat on nie wchodzi w skład „Korony Wulkanów”. To Erta Ale w północnej Etiopii. Na nim również spałyśmy pod gołym niebem, pod gwiazdami. To wulkan, który oddycha, który buczy, który fuczy...

Klaudia Cierniak-Kożuch: – ...i ma aktywne jezioro lawowe. Jesteśmy w stanie podejść do brzegu i zobaczyć tę czerwoną, gotującą się lawę. **Ewa Wachowicz:** – Powiedzmy, że jesteśmy w stanie się podczołgać... (uśmiech) **Klaudia Cierniak-Kożuch:** – No tak...

Nie było to niebezpieczne? A wyziewy?

Ewa Wachowicz: – Na Erta Ale ich nie było... Czułyśmy pewnego rodzaju dyskomfort, jednak nie było tak źle, jak na Damavanie. Tam trafiłyśmy akurat na najbardziej aktywny okres tego wulkanu

w dłuższym okresie. Tak mówił nam przewodnik, który na tym wulkanie był 80 razy. Trochę zbagatelizowałyśmy to, co mówił...

Klaudia Cierniak-Kożuch: – Przeważała babska ciekawość. Byłyśmy pierwszy raz na takim wulkanie i koniecznie chciałyśmy do niego zajrzeć, mieć ładne zdjęcia. Podeszłyśmy jak najbliżej tych wyziewów i... nawdychałyśmy się trujących gazów.

Co to oznaczało?

Ewa Wachowicz: – Spalenie śluzówki...

Klaudia Cierniak-Kożuch: – Bardzo duży ból w gardle i w nosie.

Ile trwał taki ból?

Klaudia Cierniak-Kożuch: – Około dwóch tygodni. Miałyśmy więc pamiętkę z wycieczki (uśmiech).

Ewa Wachowicz: – Na szczęście Klaudia jest laryngologiem. Doszłyśmy więc do siebie pod absolutnie fachowym okiem lekarza (uśmiech).

Jawicie mi się panie jako zgrany team. Nie wierzę, że to koniec wspólnych podróży...

Ewa Wachowicz: – Klaudia ma już plany i one mi się bardzo podobają, choć próbuję ją teraz przekonać do projektu „najpiękniejsze plaże świata”, ale słabo mi idzie (uśmiech).

Klaudia Cierniak-Kożuch: – Próbuje dalej (śmiech). Moim wulkanicznym marzeniem jest piękna wyspa Jan Mayen na Oceanie Arktycznym, do której trzeba dopłynąć statkiem i później ewentualnie się wspiąć. Byłoby to połączenie morskiej i górskiej przygody. Zobaczymy. To pomysł trudny do ogarnięcia pod względem logistycznym. Myślę jednak, Ewa, że ci się spodoba. Po drodze może jakaś plaża będzie...

Rozmawiał Paweł Czadło



Kilka tygodni temu Polki zdobyły Mount Sidley na Antarktydzie i skompletowały „Koronę Wulkanów”.

KORONA WULKANÓW

■ Komplet najwyższych szczytów wulkanicznych na każdym kontynencie. Ewa Wachowicz i Klaudia Cierniak-Kożuch mają za sobą wspólną wspinaczkę na położony w Andach najwyższy wulkan świata – Ojos del Salado (6893 m n.p.m.). Zdobyły też Elbrus w Europie (5642 m n.p.m.) i Kilimandżaro w Afryce (5895 m n.p.m.), które są na liście Korony Ziemi. Przebiegały się również przez tropikalną dżunglę na Papui-Nowej Gwinei i stanęły na najwyższym szczycie Oceanii – Mount Giluwe (4368 m n.p.m.). Poczuty siarkowy oddech najwyższego wulkanu Azji – Damavand w Iranie (5610 m n.p.m.) i zaglądały do krateru Pico de Orizaba (5636 m n.p.m.) w Meksyku, najwyższego w Ameryce Północnej. Ostatnio zdobyły Mount Sidley (4285 m n.p.m.) na Antarktydzie.

Punkt zwrotny

Russell Henley ma w dorobku dokonania niezwykle. Zwycięstwo w Arnold Palmer Invitational presented by Mastercard też jest wyjątkowe i jednocześnie zdecydowanie najcenniejsze.

Piętą trofeum PGA Tour wywalczył po długiej przerwie od wygranych, triumfując ostatnio w listopadzie 2022 roku, podczas World Wide Technology Championship. Bardzo przekonująco pokonał wtedy Briana Harmana, górując nad nim czterema uderzeniami. Teraz, jeszcze na cztery dołki przed końcem, dość pewnym kandydatem do sukcesu wydawał się dwukrotny zwycięzca wielkoszlemowy – Collin Morikawa. Jego niespodziewany odwrót rozpoczął się na 14. dołku pola Bay Hill Club and Lodge. Tymczasem Henley atakował, odrabiając stratę trzech strzałów na pięciu ostatnich dołkach, wygrywając przewagą najmniejszą z możliwych. Po birdie na czternastce, dwa dołki później dorzucił eagle'a, a grający razem z nim Collin w tym czasie zaliczył bogeya i cztery kolejne pary, kończąc marzenia o pierwszym triumfie od czasu Zozo Championship z października 2023 roku.

Bardzo trudna gra

Jak zwykle pomogła odrobina szczęścia. Tym razem punktem zwrotnym okazało się spektakularne trafienie do 16. dołka, z gęstej trawy obok greenu, z niemal 17 metrów. Russel wysunął się w tym momencie na jednopunktowe prowadzenie, którego już nie oddał. Morikawa nie zdołał ustrzelić choćby jednego tak potrzebnego birdie na ostatnich dwóch dołkach, a Henley zdołał dowieźć prowadzenie, kończąc wszystko puttem z trzech stóp. – Byłem tak zdenerwowany. Nie mogę teraz oddychać – powiedział na 18. greenie. – To pole jest tak ciężkie i trudne. Po prostu starałem się pozostać twardy w tym tygodniu. Ta gra jest bardzo trudna.

Była to kolejna niemal wygrana Morikawy, który próbuje zbliżyć się do formy, w jakiej jako zaledwie 23-latek został mistrzem PGA Championship w 2020 roku, a później The Open w kolejnym sezonie. Od zwycięstwa w Japonii minęło z kolei 17 długich miesięcy, a geniusz z University of California wciąż nie może zwyciężyć. Zaczął dzień od trafienia z bunkra na birdie na pierwszym dołku, prowadził przez cały dzień, kontrolował grę



Budząca grozę siedemnastka TPC Sawgrass. Od samego patrzenia można dostać choroby morskiej.

w sennej wydawało się rundzie finałowej, na brutalnie trudnym polu. Później nagle sprawy przybrały dla niego dramatyczny obrót. – Chapeau bas dla Collina. Grał super pewnie – powiedział zwycięzca. – Czasami golf jest po prostu okrutny.

Szczęśliwa siódemka

Innym do bólu wręcz stabilnym zawodnikiem był Kanadyjczyk Corey Connors, który rozpoczął od piętnastu parów z rzędu, trafił jedno birdie na 16. dołku i zakończył dwa uderzenia za Morikawą. Oprócz miejsca na podium wyszarpał też jedyną dostępną w tym tygodniu przepustkę na The Open w Royal Portrush. Poza zwycięzcą, bohaterem dnia był niewątpliwie kapitan amerykańskiej drużyny Ryder Cup – Keegan Bradley, który ostatniego dnia ustanowił rekord turnieju, z 29 strzałami na pierwszych dziewięciu dołkach i wyrównał najniższy wynik turnieju, 64, awansując o 22 pozycje w klasyfikacji i finiszując na 5. miejscu. Broniący tytułu Scottie Scheffler, po operacji ręki wciąż nie wskoczył na swoje normalne obroty, kończąc rywalizację na 11. pozycji. Russell zgarnął największą wygraną w dotychczasowej karierze, opiewającą na okrągłe 4 miliony dolarów, z puli jak na turniej flagowy przystało, wynoszącej 20 milionów. Nigdy nie triumfował

w tak wyśrubowanej stawce, awansując tym samym na najwyższe w karierze, 7. miejsce na świecie, wykonując skok z pozycji 14.

Prawie niemożliwe

Do tej pory znany był przede wszystkim z dwóch niesamowitych osiągnięć. W 2011 roku wygrał w turnieju Nationwide Tour – Stadion Classic at UGA, stając się dopiero drugim amatorem, triumfującym w lidze, będącej bezpośrednim zapleczem PGA Tour, po Danielu Summerhaysie, który dokonał tej sztuki cztery lata wcześniej. Zapewne nieco pomógł fakt, że turniej rozegrano na domowym polu University of Georgia, którego Russell był wówczas dumnym reprezentantem. Jego inny wyczyn wydał się nawet przebiegać ten pierwszy. Otóż, będąc już trzykrotnym triumfator w o stopień niższej lidze, po dorzuceniu w 2012 roku dwóch kolejnych trofeów – Chiquita Classic i Jacksonville Open, w styczniu 2013 roku triumfował w Sony Open in Hawaii. Nie byłoby w tym może nic nadzwyczajnego, gdyby nie fakt, że był to jego pierwszy występ na PGA Tour! Został pierwszym od 12 lat nowicjuszem w lidze,



Russell Henley w tradycyjnym czerwonym swetrze – takim samym, jaki kiedyś zakładał zwycięzcom sam „The King”, Arnold Palmer.

który wygrał w debiucie. Mało tego, z wynikiem -24 ustanowił przy okazji nowy rekord tego turnieju, bijąc poprzedni o cztery uderzenia. Był to też drugi najniższy rezultat w historii, w 72-dołkowym turnieju PGA Tour, dwa strzały za Tommym Armour III, z Valero Texas Open w 2003 roku.

– Naprawdę nie wiem, co się właśnie stało – powiedział wtedy nieco oszołomiony Amerykanin. – To najbardziej nerwowe chwile, jakie kiedykolwiek przeżyłem, i to najtrudniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. Teraz brak mi słów.

Dwukrotny mistrz wielkoszlemowy Johnny Miller tak podsumował wówczas tamten popis: – To występ, który zmusza do myślenia. Ten facet może być następnym naprawdę topowym graczem.

THE PLAYERS!

Przed nami wielka uczta golfowa! Od czwartku rusza THE PLAYERS Championship, słusznie lub niesłusznie, uznawany przez wielu za piąty turniej wielkoszlemowy. 144 zawodników powalczy o lekko szaloną pulę nagród, opiewającą na 25 milionów dolarów, z czego zwycięzca otrzyma czek na 4,5 miliona. Na słynnym Stadium Course TPC Sawgrass, z jeszcze słynniejszym, powodującym ataki paniki wśród zawodników, otoczonym wodą dołkiem 17., zmierzy się śmietanka światowego golfa, na czele ze Scottiem Schefflerem, który po raz drugi z rzędu będzie bronił tam tytułu! Rok temu, podczas okrągłej 50. edycji turnieju, wówczas i aktualnie numer 1 rankingu światowego dokonał sztuki niezwyklej, zostając pierwszym, który wygrał tam w dwóch kolejnych edycjach. Scottie nie dość, że triumfował z wynikiem -20, drugim najniższym w historii, po... Gregu Normanie w 1994 roku, to jeszcze odważył się zatriumfować dwa razy z rzędu. Prawdopodobnie lekko wstrząśnięci tym organizatorzy postanowili delikatnie podrasować słynne dzieło Pete'a Dye'a i potencjalnie uodpornić je na ataki dwukrotnego z rzędu mistrza Masters. Jak to wszystko się rozstrzygnie, przekonamy się wkrótce. Wieczorne transmisje na antenie Eurosportu 2 i platformie MAX, klasycznie z komentarzem Jacka Persona i dołączającego w niedzielę Pawła Ulbrycha.

Kasia Nieciak



Świętowanie z rodziną.